ŚWIAT

Nr. 21. 23. V. 1936
CENA 1 ZŁ.



w numerze:

ALINA HALSKA utalentowana artystka T. K. K. T. przypomniała się ostatnio w „Pierwszym Występie Jenny"

PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

Trzeba się liczyć z Włochami

KOELNISCHE ZEITUNG, Kolonja:

„Gesty i czyny Mussoliniego mają znaczenie nieobliczalne. Przyłączając Erytreę i Somalję do terenu etjopskiego, stworzył on we wschodniej Afryce nowe i wielkie Imperjum, którego posiadanie stawia Włochy w pierwszym rzędzie potęg kolonjalnych. W ten sposób Włochy zapewniają sobie nietylko bardzo szerokie możliwości kolonizacyjne, ale uzyskują politycznie wagę pierwszorzędną. Niewątpliwie Europa i świat cały muszą się odtąd spodziewać, iż polityka włoska stanie się otwarcie imperjalistyczna i że nowy czynnik potęgi, jaki powstał na morzu Śródziemnem zaważy znacznie wydatniej, niż dotychczas na postanowieniach, jakie przy rozwiązywaniu problematów zasadniczych zapadać będą w Europie i w całym świecie. *Po tym wstępie „Koelnische Zeitung" dodaje:* „Mussolini jest niezaprzeczalnie politykiem zbyt doświadczonym, aby nie był wierny swym deklaracjom, jakie ostatnio uczynił dziennikarzowi Ward Price: „Włochy, powiedział Duce, nie tkną ani Sudanu, ani Palestyny i uważają Egipt jako państwo „niezależne".

Wszystko to jednak nie umniejsza w niczem pozycji, jaką Włochy zajmują dziś jako potęga śródziemnomorska i potęga granicząca z Oceanem Indyjskim. Niemcy z tej racji nie zapominają o zapewnieniu Duce dotyczącem starań, jakich rozwinięcie zapowiadał w celu zrealizowania porozumienia mocarstw zachodnich z Rzeszą.

Bezwzględnie, tylko pod tym warunkiem można będzie uniknąć wojny, w której pogrzebanyby został cały gmach cywilizacji europejskiej.

OTTOBRE, Rzym:

Bojowy dziennik faszystowski pisze: „Dzięki bohaterstwu swej armji naród włoski zadekretował niezniszczalną sławę Mussoliniego, proklamując go „założycielem Imperjum". Bo w istocie Duce stworzył imperjum włoskie. Pozytywnie odrodził on antyczną wielkość swego narodu, opierając ją na pełnem i absolutnem posiadaniu olbrzymiego terytorjum — imperjum Salomona — które w olbrzymi sposób rozszerza granice ojczyzny. W ten sposób Włochy odradzają się i nanowo przeżywają swe risorgimento i swą rewolucję."

A dalej dodaje „Tworząc Imperjum, Mussolini stworzył nowe, istotne, szlachetne Włochy, które są sobie same panem i pewne są swego przeznaczenia. Włochy posiadają uznaną misję niesienia dobrodziejstw cywilizacji rodzajowi ludzkiemu. To to właśnie Imperjum daje im prawo i obowiązek spełnienia tej misji."

Wreszcie pismo bojującego faszyzmu konkluduje: „Kierowane przez genjusz imperjalny tej miary, Włochy — Nowa Pallada — instalują się w Abisynji przedewszystkiem, aby spełnić swą misję rzymską i faszystowską regulatora życia cywilnego, twórcy dobrobytu i cywilizacji.

Historja świata, której osią najpierw było morze Śródziemne, po przeniesieniu się ku Atlantykowi i Pacyfikowi — powraca obecnie i staje się znowu śródziemnomorską."

Ave Caesar

Antyfaszystowski *„Manchester Guardian"* nie bez tajonej nienawiści i złości szydzi z entuzjazmu rzymskiego w sposób sarkastyczny: „Zwycięstwo w Etjopji zdaje się wywierać efekt podniecający i potęgujący wylewy oratorskie Duce. Nocne divertissements wykonywane na balkonie Pałacu Weneckiego, z którego wyżyny pan Włoch lubi rozmawiać z ludem rzymskim, stają się niesłychanie zasadnicze. Pozwalają nam one wierzyć, że jest to tylko kwestją czasu, kiedy nareszcie główny aktor ukaże się przed zachwyconym tłumem w purpurowej todze i w bohaterskim kasku, tak odpowiednim do tej roli.

Jak należało się spodziewać, ubiegłej soboty Mussolini obwieścił światu aneksję Abisynji bez zastrzeżeń i ograniczeń. Zapewnił on, że Włochy obronią Imperjum faszystowskie przed każdym, ktoby się ośmielił je tknąć. Znów mówił o sypiącej iskry szabli, ale tym razem powierzając jej zadanie niegroźne ... przecinania węzłów „gordyjskich". Nieco dalej dziennik liberalizmu i przemysłu angielskiego tak kontynuje swą krytykę: „Ostatnio Mussolini mówił, iż w godzinie obecnej Włochy są „mocarstwem zadowolonem". W sobotę oznajmił, że nowe Imperjum będzie „Imperjum Pokoju", gdyż Włochy potrzebują pokoju zarówno dla siebie, jak i dla innych." Mimo to nic nie stanęło na przeszkodzie unicestwienia Abisynji. Nie przeszkodzi to również podobnemu unicestwieniu w najbliższych dwunastu miesiącach paru innym krajom, o ile Europa nie zdobędzie się w krótkim czasie na zaprowadzenie porządku u siebie w domu."

„Izwiestja" o Francji

Wybory francuskie nie przestają być komentowane szeroko w prasie międzynarodowej. „Izwiestja" nazywa wynik wyborów odpowiedzią Francji — daną Hitlerowi. „Opinja mas ludowych francuskich została potwierdzona przez zwycięski sukces głównego inspiratora walki z faszyzmem — komunistyczną partję Francji.

Wybory francuskie mają zawsze wielkie znaczenie dla całej Europy. Naziści lubią powtarzać, że wyrażają oni historyczną tendencję faszystyzacji krajów europejskich. Rezultat wyborów francuskich wskazuje, że zwycięża tendencja przeciwna. Lekcja zwycięstwa nazistowskiego w Niemczech nie została stracona dla rzesz pracujących w innych krajach."

To nastawienie sowieckiego pisma nie jest zupełnie słuszne. Tym razem Francja głosowała na lewo — ale 6 stycznia 1935 roku masy paryskie, masy prawicowe zmiotły gabinet Daladier'a. Obecny rewanż jest tryumfem organizacji i solidarności lewicy francuskiej — niezawsze odpowiadającym istotnej sile.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 21 — 23. V. 1936



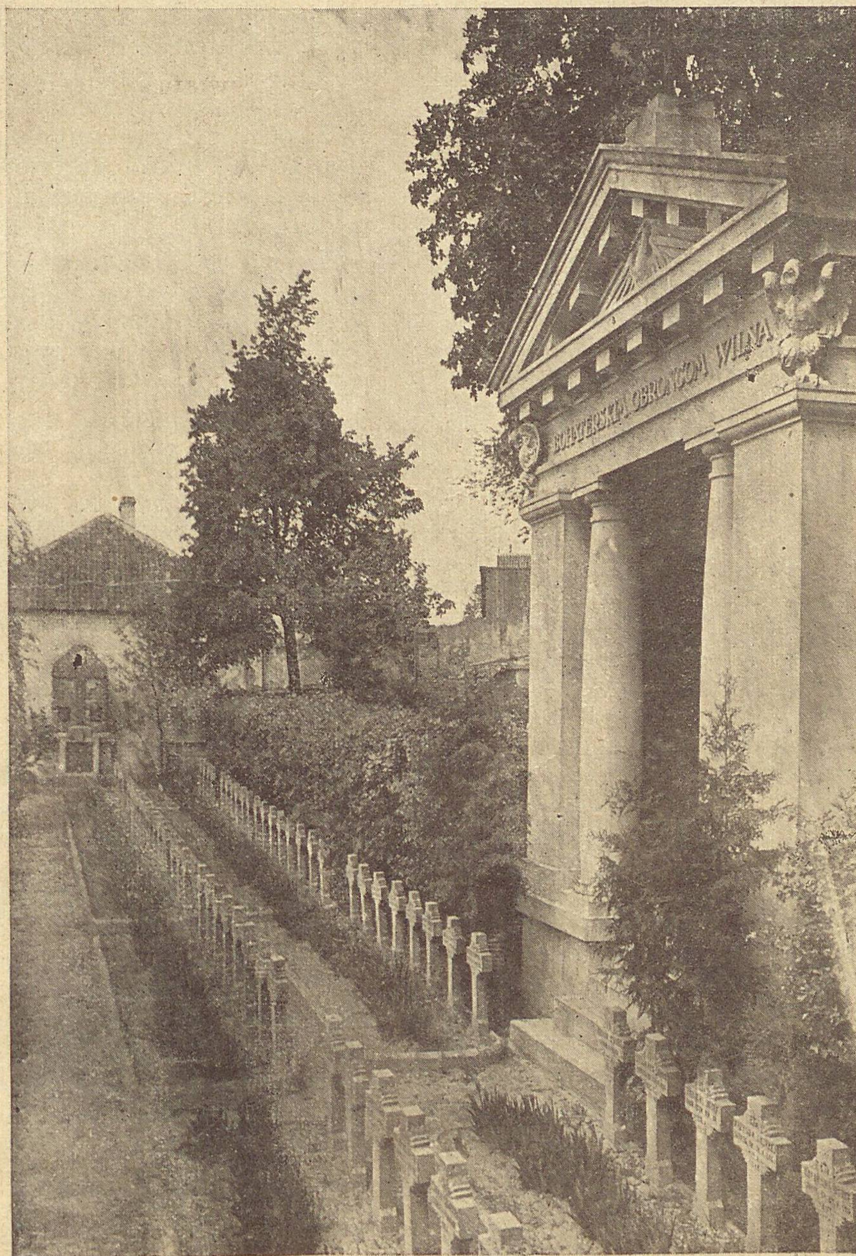
URNA Z SERCEM JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

12–V–1936 ROK

Na Rossie, w ukochanem Wilnie spoczęło serce Józefa Piłsudskiego

W ziemi dzieciństwa, w ziemi najdroższej Mu spełniło się wzruszające misterjum złączenia się Matki i Syna w Ich wspólnem ostatniem miejscu spoczynku.

Trzy elementy najwyższej ludzkiej miłości: Ziemia, Matka i Dziecko zespoliły się w tym niezwykłym Sarkofagu — ku któremu wzruszenie i myśl polska jakże często biedz będzie.



POŁÓW PEREŁ



Ulgi dane „półgębkiem"

Jesteśmy krajem doszczętnie zdemotoryzowanym. To dziś wie każde niemowlę w Polsce. Spostrzegły to i władze. Dopingowane przez prasę — jako, że katastrofa Abisynji dała nam wiele do myślenia — czynniki decydujące postanowiły motoryzację w kraju ... popierać.

Jakże się do tego wzięto?

Dekret o ulgach podatkowych, przyznanych nabywcom nowych samochodów, ogranicza cenę tych samochodów niestety do 12 tysięcy złotych. Czyli stawia restrykcje niezmiernie ciasne — i dla ewentualnych celów militarnych zgoła szkodliwe: bo poniżej 12 tysięcy zł. można w Polsce kupić tylko samochodzik malutki, miły dla celów prywatnych, ale stanowiący dla obrony kraju — poprostu quantité négligeable.

Końcowy ustęp dekretu jest jednak jeszcze dziwniejszy. Jak objaśnia jedno z pism codziennych, nabywca samochodu musi wnieść podanie do Urzędu Skarbowego, aby mu cenę samochodu od dochodu opodatkowanego odliczono. Ale *mimo to — musi podatek zapłacić w całości.* Potem — po decyzji Urzędu Skarbowego — po sprawiedliwem zbadaniu i licznych zapewne wywiadach, Urząd Skarbowy ... ten wpłacony podatek ma zwrócić (po 1-ym kwietnia roku następnego).

Nie wiem, jak tam inni. Uparty nurek, choć nie jest krezusem, już miał zamiar samochodzik sobie sprawić ... zachęcony owemi ulgami podatkowemi. Po rozejrzeniu się jednak w tym ostatnim paragrafie — z szaleńczego pomysłu rezygnuję. Wiem aż nadto dobrze — ze smutnego doświadczenia i z autorytatywnych *oświadczeń* różnych skarbowych dygnitarzy — *że wpłacić* do Skarbu, choć przecie niełatwo, jest jednak *stokroć łatwiej,* niż cokolwiek od Urzędu Skarbowego otrzymać z powrotem.

Poczekam. Może się jednak namyślą. Zamiast ulgi „półgębkiem", „na odczepne", „byle zbyć" — może przecież ogłoszą jakieś ulgi *istotne,* bez „ale" i bez „jeżeli".

Wtedy dopiero samochód kupię.

Powolna orjentacja

Dziewica pewna w stolicy skoczyła z IV piętra. Rozrzewniano się wielce, bo skoczyła, jak to mówią — „w obronie czci własnej".

Ale co było przedtem?

Poznała gdzieś na ławce, na ulicy, dwuch drabów. Zaznajomiła się łatwo. Przyjęła zaproszenie na wódkę, do mieszkania jednego z nich. Gdy ją, zupełnie już pijaną, usiłowano zniewolić — wtedy dopiero spostrzegła, poco ją zaproszono.

Przypuszczała widocznie, bidusia, że będą z nią mówili o filozofji Platona albo o sposobach zaradzenia kryzysowi gospodarczemu.

Rycerze przemysłu

Kiedyśmy przed laty, w okresie przedkryzysowym, poszukiwali dobrego szofera, zgłosił się wśród wielu innych młodzian o pozorach angielskiego lorda a manjerach dyplomaty i oświadczył: on niżej 700 złotych miesięcznie się nie zgodzi, bo tyle miał u pana Kuttena. Nie wiedzieliśmy wtedy, kto zacz jest ów pan Wiktor Kutten. Szofer, rzecz jasna, otrzymał od nas życzenie, aby mu się drugiego takiego magnata udało znaleźć na pracodawcę.

Pan Kutten, jak dziś już ze wszystkich pism codziennych wiadomo, jest poprostu rycerzem przemysłu. Bez trudu mógł taką pensyjkę płacić swemu szoferowi. Pan Kutten ostatnio siedział za kratkami — za różne niewyraźne, a może zanadto wyraźne sprawki. Oszukał Skarb Państwa, bo najzwyczajniej fałszował bilanse „rządzonego" przez siebie przedsiębiorstwa — cementowni Firley. A teraz oto wyszły na jaw inne jeszcze nadużycia.

Banda aferzystów — wśród nich pan Kutten — wykupiła większość akcji zakładów górniczych w Sierszy — i systematycznie działała na szkodę drobnych akcjonarjuszy. Firley — który był sercu tych rycerzy przemysłu znacznie bliższy — otrzymywał na kredyt węgiel z Sierszy bez żadnych zabezpieczeń. I doszło do tego, że dług stąd powstały przekroczył miljon złotych!

Bilanse Sierszy były świadomie fałszowane. O dorocznych zebraniach akcjonarjusze wogóle się nie dowiadywali. W protokułach zapisywano, że mniejszość „telefonicznie wyraziła zgodę na uchwały".

Narzekamy, że trudno w Polsce o złocisza...

Nieprawda. Są tacy, którym łatwo w Polsce — o miljony. Że trzeba je podnieść z błota — oni się tem nie przejmują.

Idjotyczny konkurs

Konkurs na piękne oczy. Na najpiękniejsze brwi. Na najwymowniejsze nogi. To wszystko już było.

Kilkadziesiąt kretynek wymyśliło teraz konkurs jeszcze głupszy: konkurs na *najdłuższy płacz.*

Najdłużej lała ślozy pewna 19-letnia pannica, wypuszczając co 5 minut 15 łez, *przez całe 3 godziny!*

Tak — bez żadnego powodu. Z czystej i nieprzymuszonej głupoty.

Działo się... No gdzieżby? Rzecz jasna, w krainie wszystkich najbzdurniejszych możliwości.

W U. S. A.

W mieście gangsterów i rzeźni, w Chicago.

Czyż to niespodzianka?

„Daily Telegraph" wyjawił ostatnio, że podczas obrad genewskich Paul Boncour stwierdził, iż Niemcy budują nagwałt w Nadrenji fantastyczne wprost fortyfikacje. Zużywa się na ten cel... tylko około 300 tysięcy ton cementu miesięcznie.

Obradujący — jak to zwykle bywa w Genewie — przejęli się szalenie tą rewelacją — i w konkluzji ... *odroczyli obrady do 16 czerwca.*

Czy przypuszczali przypadkiem, że Niemcy wkroczyły do Nadrenji dlatego tylko, że powietrze jest tam wyjątkowo zdrowe, że jest to kraj piękny, malowniczy, mlekiem i winem płynący?

Tak — dla celów wyłącznie turystycznych?

Ojczyzna go „przygarnęła"

Nosił symboliczne nazwisko — Ofiara. Życie całe spędził na emigracji, pracując ciężko w Stanach Zjednoczonych, ciułając kapitalik na stare lata, marząc o dniu szczęśliwym, gdy wróci do „starego kraju" na zawsze.

Wrócił.

Przywiózł ze sobą dużą, jak na polskie stosunki, gotówkę. I — niestety — zbyt wielki, jak na nasze stosunki, zasób naiwności.

Oto dwa niebieskie ptaki tak zręcznie omotały Ofiarę — że stracił pod ich skrzydłem opiekuńczem cały niemal majątek. Coś około 70 tys. złotych.

Poczem opryszki zbiegły z Warszawy — a Ofiara został, opłakując swą naiwność—i „dzień swego powrotu".

Zgubna manja

„Zastaw się, a postaw się".

„Przypiął kwiatek do kożucha".

Stały to, niestety, system w kraju nędzy, gdzie brak marnych groszy na szkoły powszechne, ale gdzie się zato stawia reprezentacyjne pałace za wielomiljonowe sumy (wyciągnięte z podatników, wiadomo).

Jeden z najjaskrawszych przykładów szczytnego wręcz nonsensu — to słynny już dziś na całą Polskę — ba, nawet Europę — pałac P. W. i W. F. w... Kielcach. Mamy dla tego pięknego miasta bardzo wiele sentymentu. Trudno jest jednak zrozumieć, dlaczego właśnie Kielce dostąpiły zaszczytu posiadania pałacu sportowego, jakiego nie ma ani stolica, ani żadne inne miasto w Polsce. Pałac, w którym, jak stwierdził jeden z naocznych świadków, mogłyby się odbywać posiedzenia Ligi Narodów — tak jest luksusowy, wymarmurzony, rozległy, i, co tu gadać, pański.

Czy jest chociaż przy tym pałacu rzecz dla sportu niezbędna — boisko sportowe?

Zwiedzający tę instytucję niedyskretny dziennikarz szukał boiska długo, wytrwale i napróżno.

Było... zaczęte.

Poczem robót zaniechano — i boisko *zarosło!*

Zostały oczywiście marmury, kryształy, dywany, cudeńka i t. p. (I nazwa P. W. i W. F.).

W dodatku — co stanowi pikantną pointę tej sprawy — wspaniałości te *nie są jeszcze zapłacone.*

W tygodniu bieżącym odbywa się w Kielcach proces, wytoczony przez Zakłady Starachowickie, które zażądały położenia aresztu na wszystkich dochodach wspaniałego a niepotrzebnego pałacu. Bo przy budowie pałacu Starachowicom nie dopłacono bagatelkę: 72 tysiące złotych.

Bogato — z gestem — zadłużać się.

Bardzo po naszemu.

Pisz do mnie na... Hebrydy

Jest do sprzedania czarowna wysepka na Oceanie Spokojnym. Przepraszam, nawet trzy wysepki. Za grosze: głupie 3 tysiące funtów. (Na naszą walutę raptem 150 tysięcy złotych, zdaje się). Czyli po 50 tysięcy sztuka.

Ogłaszam subskrypcję na wykupienie takowych.

Przyjmuje się zgłoszenia od osób, które wykażą następujące zalety:

1. Nieprzezwyciężony wstręt do gramofonów, jazzu, głośników radjowych, ryczących motocykli, orkiestr dętych i rżniętych, tudzież wrzeszczących dzieci.



2. Usposobienie filozoficzne, przesiąknięte pogodnym optymizmem.

3. Absolutny brak pamięci do plotek i organiczną niezdolność powtarzania kiepskich dowcipów.

4. Większe zamiłowanie do wonnego kwiatu, niż do omszałej butelczyny.

5. Uszanowanie bezwzględne dla mizantropji bliźniego i niewłażenie mu z buciorami footballowemi w jego tajniki duchowe.

6. Parę innych właściwości, które sobie moi czytelnicy sami dośpiewają, gdy je określę krótko: człowiek kulturalny, zmęczony pokostem pseudo-cywilizacji.

Upraszam zatem o składanie ofert, adresowanych na ręce upartego nurka.

Załączenie odpowiedniego zadatku na udziały mile widziane.

Pośpiech wskazany, gdyż szelmy angliczanie gotowi nas i tam wyprzedzić.

Post scriptum (dla wstydliwych):

Nudyzm na owych wyspach Szczęśliwości nie będzie obowiązujący.

Kobieta i sport

Jesteśmy zdecydowanymi zwolennikami sportu, uprawianego przez kobiety. Ale zarazem zdecydowanymi wrogami *przesady* w tym kierunku. Okazuje się, że nasz skromny pogląd laika, oparty jedynie na trzeźwem rozumowaniu, znajduje pełne potwierdzenie w statystyce wpływu sportu na zdrowie kobiece.

Ze 155 słuchaczek C. I. W. F., jak pisze „Gazet Polska", zaledwie 8 — wyraźnie *osiem* — nie uległo w okresie dwuletnim zaburzeniom na tle miesiączkowania.

Co to znaczy? Znaczy to, że najważniejsza funkcja fizjologiczna kobiety *uległa niepożądanym zaburzeniom w 95% wypadków!* Z jakim skutkiem dla zdrowia — łatwo się domyśleć. Niedomogę jajników stwierdziły badania ginekologiczne u 66% słuchaczek, *które ćwiczyły podczas miesiączkowania!*

Analogiczne objawy stwierdzono w niemieckiej szkole Wychowania Fizycznego w Berlinie.

Czy winien tu system, czy wadliwe jego stosowanie?

Uparty nurek.

M. RULIKOWSKI

WOJCIECH BOGUSŁAWSKI NA PIEDESTALE

Warszawie, niezbyt bogatej w pomniki, przybyły ostatnio dwa nowe, w większym może stopniu, niż wiele innych, mające unaoczniać nietyle cielesną postać tych, których wyobrażają, ile raczej przez tych ludzi reprezentowaną ideę.

Pomnik Kilińskiego utrwala nie samą tylko pamięć szewca-pułkownika, ale w większym zapewne jeszcze stopniu jeden z momentów w dziejach narodu i pewnej jego warstwy, przypominając patrjotyczny poryw mieszczaństwa warszawskiego w krytycznej dla kraju godzinie; monument zaś, — wzniesiony Wojciechowi Bogusławskiemu...

Tutaj musimy przerwać, gdyż z Bogusławskim sprawa nie jest tak łatwa i na pytanie: jakiej idei był on ucieleśnieniem? odpowiedź nie może być prosta. Jest bowiem „ojciec sceny polskiej“ pokoleniom, które po nim przyszły, bliski a zarazem daleki; bliski tylko przez nałóg powtarzanych wciąż o nim z automatycznego nawyku zdań, daleki w tem, co dotyczy istotnej o jego czynach wiedzy i szczerego dla niego hołdu serc, czujących potrzebę wdzięczności.

Kto był Bogusławski?

Od tych słów, które nie były wówczas, ale równie dobrze nie są i dziś pytaniem tylko retorycznem, zaczyna swe studjum o życiu i działalności Wojciecha Bogusławskiego jego wnuk Władysław, sam znakomity znawca rzeczy teatralnych. Na pytanie to usiłuje następnie dać odpowiedź, z konieczności ograniczając ją do zakresu posiadanych a jakże skąpych wiadomości, i stwierdzając przy tej okazji, że „ lakonizm historji, dobry, kiedy go wspiera pamięć ogółu, wyrządził Bogusławskiemu krzywdę“. Czy krzywda ta została w latach późniejszych wyrównana, wątpić należy, gdyż od czasu ukazania się — równo lat temu pięćdziesiąt — tego pierwszego na nieco większą miarę zarysu biograficzno historycznego, zasób naszych o Bogusławskim wiadomości nie o wiele powiększył się.

Tłomacząc na swój sposób przyczynę owego lakonizmu, dopatrywał się jej autor „Sił i środków naszej sceny“ w tem, że „jesteśmy (a więc: byliśmy przed półwiekiem) pokoleniem, roznamiętnionem w analizie, ale (wyjaśniał) może właśnie dlatego stoimy zalęknieni wobec tych, co coś zbudować potrafili, szukając drogą rozbioru tajemnicy ich siły twórczej“.

Taką siłą u Bogusławskiego był dar nieoceniony i nader rzadki, jedyny właściwie, nadający sens pomnikom i upoważniający zarazem do wznoszenia ich wyłącznie tym, którzy go posiadali. Dar ten, to przywilej, dzięki któremu czyny w ten sposób wyróżnionych mają moc trwania w coraz to nowej postaci. Czyż trzeba dodawać, że, aby tak być mogło, działalność tych ludzi wybranych, z natury rzeczy przemijająca w swej formie chwilowej, musi posiadać już w samym zarodku siłę życiodajną i niedostrzegalną narazie cechę ciągłości? Wojciechowi Bogusławskiemu taki dar przydzielony był w stopniu niemałym, to też wszystko, czego dokonał, było zarazem posiewem pod wciąż odnawiające się plany. I choć pamięć o większości jego czynów niewątpliwie zaginęła na zawsze, żyły one przecież i żyją wciąż w tem, co z nich powstało. „Jam wszystek z niego“ — może zawsze powiedzieć o sobie, Bogusławskiego mając na myśli, teatr polski, którego on— według utartego wyrażenia — był ojcem. Określenie jednak takie mogło narodzić się i przetrwać do dni dzisiejszych na podłożu jedynie nieznajomości faktów, które w istocie mówią co innego. Bogusławski był raczej dla nowoczesnego teatru polskiego w najwcześniejszej jego epoce mężem zaiste opatrznościowym i mądrym jego wychowawcą; ojcem jednak sceny polskiej nie był, gdyż do życia jej nie powołał; poświęcił natomiast teatrowi wszystko, co posiadał, oddając mu bez zastrzeżeń całe swoje życie.

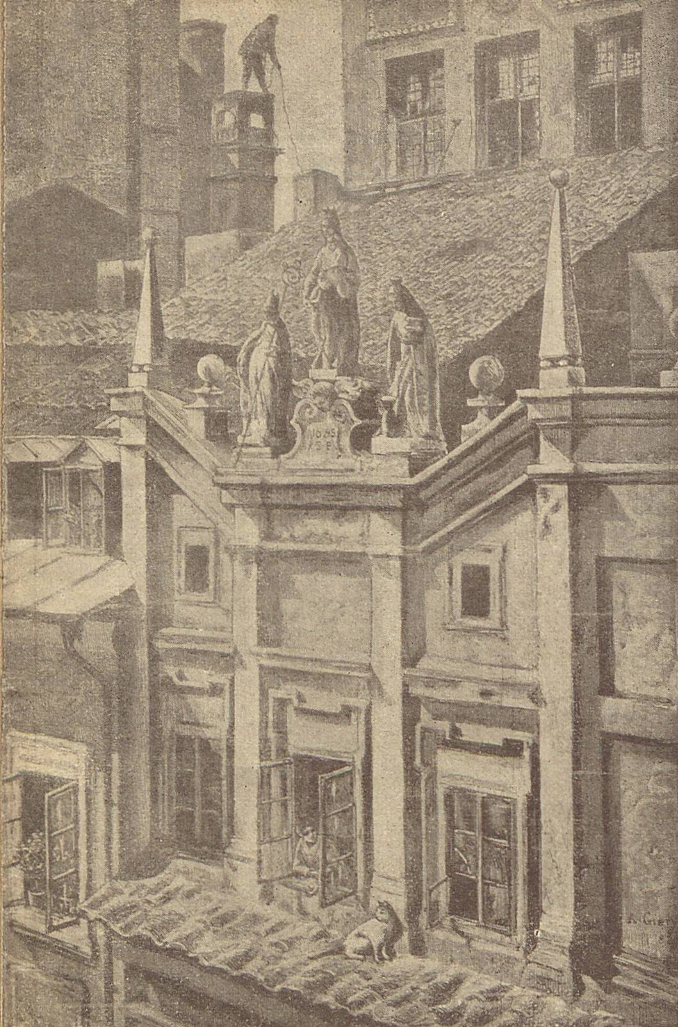
Za to właśnie, za niezmarnowanie daru, którym dla wykonania wyznaczonych mu zadań został obdarzony, za nieustanny trud nad pomnażaniem w sobie woli dobrego tym darem rozporządzenia i za wytrwanie w tym trudzie — stał się oto godny, aby mu pomnik wzniosła potomność.

A że dla potomności tej najdoskonalszym jest zarazem symbolem wysiłków, włożonych i przez niego samego, i przez tych, którzy go zastąpić musieli, przeto i ten postawiony mu pomnik jest jednocześnie wiernem uplastycznieniem idei teatru polskiego, w walce zrodzonego, walką utrzymywanego i wciąż, mimo zmian zewnętrznych, niezmiennie trwającego jako ciąg dalszy w przyszłość sięgającej myśli Wojciecha Bogusławskiego i wiary jego żarliwej w posłannictwo narodowej sceny

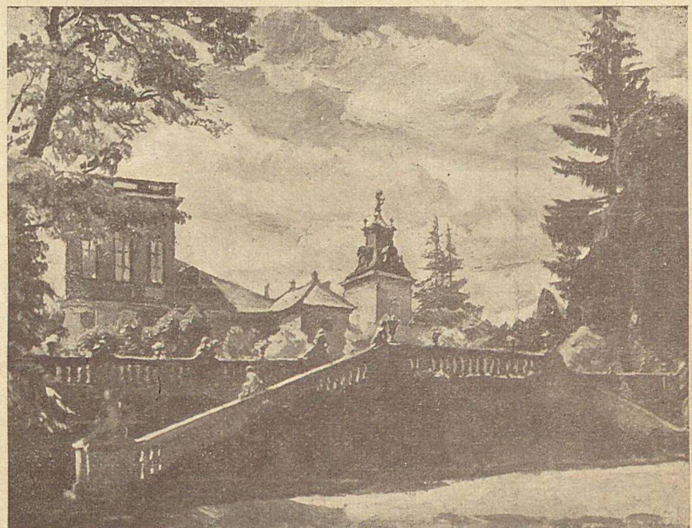
Złudzeniem jednak byłoby sądzić, że sam Bogusławski, wydźwignięty na piedestał pomnika, stanie się przez to bliższy ogółowi swych rodaków. Dla nich pozostanie tem, czem był dotąd: postacią legendarną. Może wypływa to i z porządku rzeczy na tym świecie, bo czyż właściwie nie ci tylko tego zaszczytu mogą dostąpić, którzy, utraciwszy kształt pojęcia realnego, stali się legendą? Co do Bogusławskiego, jest rzeczą niewątpliwą, że w stosunku do niego analizę, o jakiej pisał jego biograf, zastąpiła w umysłach polskich synteza, nie ta jednak, która jest wynikiem dokładnej znajomości faktów i opiera się na prawdzie, ale ta inna, w działaniu swem może nieraz silniejsza, w mgławicę legendy przyobleczona. Legendarną postacią dla czterech już pokoleń polskich jest Wojciech Bogusławski, bynajmniej jednak nie Bogusławski żywy, Bogusławski aktor, Bogusławski dyrektor teatru, Bogusławski pisarz, ale jeno jakiś z tych wszystkich pojęć zlepiony mglisty cień czegoś, co było; nie człowiek konkretny, w świadomości istotnej tego, co dokonał, uchwytny, a przez uczucie wdzięczności, jakie musi wzbudzać, bliski, ale, przeciwnie, tak daleki, że dorósł do tego, aby stać się symbolem.

Z chwilą odsłonięcia pomnika przed Teatrem Narodowym w Warszawie będzie nim Bogusławski w jeszcze większym stopniu, stając się legendą nietylko z ust do ust powtarzaną, ale i w dosiągalną formę stężałego w bronzie kształtu ludzkiego zaklętą.

Z WYSTAWY „WARSZAWA W OBRAZACH" w „ZACHĘCIE"



A. Gierymski. Dom na Starem Mieście.

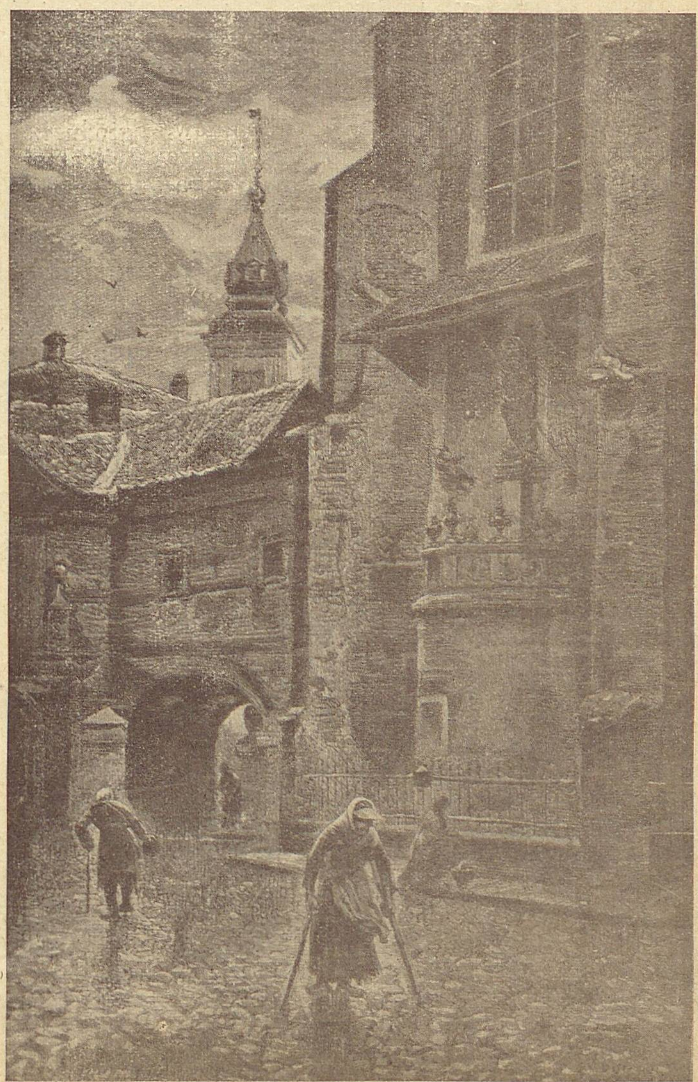


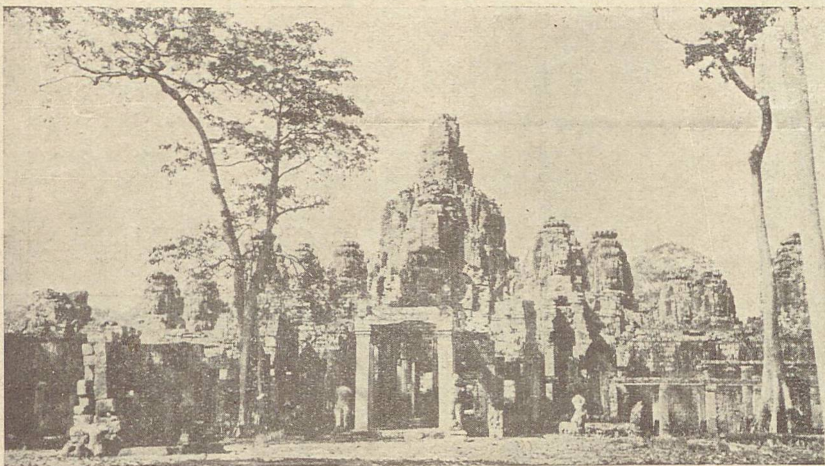
W. Ossecki. Wilanów.



B. Kopczyński. — Wjazd do pałacu Kazimierzowskiego.

A. Gierymski. „Zmierzch na Kanonji".





Bayon.

KRÓLESTWO Z BAJKI

WŚRÓD DŻUNGLI



Anghor Vat.

Saigon w marcu

Przez szereg godzin płyniemy szeroko rozlanem ujściem rzeki Saigon, nie tak szerokiem wprawdzie, jak ujście Yang-Tse, lecz jak ono również o brzegach płaskich i monotonnych. Od Cap St. Jacpues, gdzie Don-nai, którego przypływem jest rzeka Saigon, wpada do Morza Chińskiego, aż do miasta Saigonu ciągną się wzdłuż rzeki nieskończone plantacje hevei, t. j. kauczuku. Nocą wpłynęliśmy na wody Saigonu, by wczesnym rankiem stanąć w stolicy Kochinchiny i najważniejszym porcie Indochin francuskich. Już przy zejściu ze statku zanurzamy się, jak w ciepłą kąpiel, w wilgotne gorąco tropików, którego nie odczuwało się jeszcze tak dalece na morzu. Biało ubrani Europejczycy, Anamici, kobiety czy mężczyźni w jednakowych obcisłych, najczęściej czarnych pyjamach, niektórzy tylko w sarongach. Mimo wczesnej godziny ruch w porcie już znaczny, auta i riksze suną wzdłuż szerokich ulic wysadzanych gęsto drzewami. Saigon to typowe prowincjonalne, południowo-francuskie miasto przeniesione na grunt kolonjalny. Jakiś Perpignan, Tuluza czy Nîmes, tylko zamiast zabytków średniowiecza wznoszą się budowle w typie egzotyczno-kolonjalnym, zrzadka jakaś pagoda czy świątynia anamicka. No i roślinność nieco inna. Ale taki teatr „municypalny" na placu, podobny kościół o smukłych wieżach, taki sam „hotel de ville" widziało się już w wielu miastach francuskich, również jak i podobny bulwar, tu zwany rue Catinat (od nazwiska admirała, który wielkie położył zasługi dla roz woju Indochin), gdzie w pięknych sklepach widać ostatnie nowości paryskie, a na szerokich tarasach kawiarni zasiada publiczność miejscowa „à l'heure de l'apéritif".

Krótki ale niezbędny odpoczynek w hotelu, konferencja z bardzo usłużnym i uprzejmym organizatorem i „impressario" dalszej podróży autem przez Kochinchinę i Kambodżę — poczem można przy pomocy rikszy obejrzeć Saigon — właściwie zwiedzić jedyne godne tu widzenia rzeczy — przepiękny ogród botaniczno - zoologiczny i Muzeum Blanchard de la Brosse, poświęcone sztuce miejscowej.

W cieniu olbrzymich drzew ogrodu botanicznego oddycha się wilgotnem aromatycznem powietrzem oranżerji, przepojonem zapachem mokrej ziemi i roślin; wspaniałe nieznane kwiaty i krzewy, fantastyczne liany zdumiewają oszołomionego przybysza z dalekiej północy całą gamą olśniewających kolorów i odurzających woni. A między tem rozrzucone klatki z wszelkiego gatunku przedstawicielami fauny miejscowej od panter i tygrysów do małp i wężów. Brzegiem jeziora po mokrej łączce dumnym krokiem przechadzają się najdziwniejsze ptaki wodne, czaple, żurawie, ibisy, flamingi, pelikany o niezwykłych barwach. Właśnie jest chwila obiadu. Annamita w białym mundurze wyrzuca cały kosz sporych rybek. Jeden z pięknych ptaków, flegmatyczny pelikan o barwie blado-różowej krepdeszyny, pracowicie wypełnia swój wielki wydrążony dziób rybkami, ale wojowniczy sąsiad o turkusowych skrzydłach chwyta co najlepsze z przed... dzioba. Jego dziób ostry i cienki jak szpada przecina nieszczęsną rybkę na połowę — łuska jej chrzęści złowrogo, zanim zniknie w czeluściach. Przypomina się film „eat them alive".

W pośrodku ogrodu wznosi się piękny budynek Muzeum w stylu chińsko-anamickim. Muzeum, założone staraniem Ecole Française de l'Extrême Orient, której ośrodek znajduje się w Hanoi, stolicy Indochin, posiada niewielkie ale piękne zbiory, częściowo sztuki chińskiej, głównie jednak wykopalisk z Angkoru. Obejrzenie go właściwie wyczerpuje rzeczy godne widzenia w Saigonie; jest tam wprawdzie jeszcze parę spacerów, wreszcie o półgodziny autem miasto chińskie Cholon — nie przedstawia ono jednak interesu dla przybyszów z Chin. Toteż po wczesnym lunchu, ładujemy się do oczekującego już Hotchkissa, aby odbyć tegoż dnia etap 230 klm. — do stolicy Kambodży, Pnom Penh.

Mijamy Saigon, jego szerokie bulwary, ruchliwe przedmieścia, wille podmiejskie, wreszcie olbrzymie plantacje heveji. Ciągną się one nieraz kilometrami na całej przestrzeni Kochinchiny; niektóre z nich zresztą nie są już eksploatowane, gdyż po kryzysie kauczukowym przed kilku laty wielu właścicieli plantacji kauczuku pobankrutowało i plantacje zostały opuszczone. I dziś interesa pozostałych idą nieświetnie wobec nadprodukcji i konkurencji Indyj Holenderskich.

Potem już rozpoczyna się niezmierzona płaszczyzna, pokryta szachownicą szmaragdowych ryżowych pólek. Niektóre z nich są zupełnie pod wodą, na innych zielenieje aksamitna ruń świeżych pędów. Tam, gdzie niema uprawnych pól ryżu, ciągną się bagna i moczary, jeziorka wody stojącej, z których wyłaniają się czarne cielska i płaskie rogi bawołów wodnych, zażywających rozkoszy chłodzącej kąpieli. Po topieliskach kroczą niezliczone ilości ptaków wodnych najrozmaitszych gatunków i kolorów: śnieżno-białe o pierzastych egretach, szafirowe, błękitno- i różowo-skrzydłe, cienkonogie, brodzą poważnie wśród wody, ożywiając monotonny pejzaż. Niektóre małe ptaszki siedzą na grzbietach bawołów, które znoszą to nader flegmatycznie a nawet zapewne z zadowoleniem, gdyż ptaszki zjadają muchy i pasorzyty, gnieżdżące się na skórze bawołów.

Kraj płaski i monotonny—zdaleka, tylko na wschodzie wznosi się samotna zielona góra w kształcie piramidy. Nie jest to jednak kraj bezludny; dość często trafiają się wioski ukryte w gęstwinie drzew: palm kokosowych, bananów, rododendronów i płomiennych kwiatów „poinsettia". Domki przeważnie drewniane, często na wysokich palach, przewiewne, otwarte na wszystkie strony. Po drodze spotyka się wieśniaków w wózkach zaprzężonych w maleńkie koniki, wielkości dużego doga, wyglądające niemal jak zabawki. Drepczą one szybkim truchcikiem na swych śmiesznych maleńkich kopytkach. W Indo-Chinach i Kambodży spotyka się jeszcze jeden szczególny typ wehikułu — wózek dwukołowy barwnie pomalowany, rodzaj rikszy, tylko większy, mogący pomieścić dwie osoby, a siłę pociągową stanowi człowiek — ale na rowerze. Jest to bądź co bądź bardziej pomysłowe rozwiązanie od rikszy.

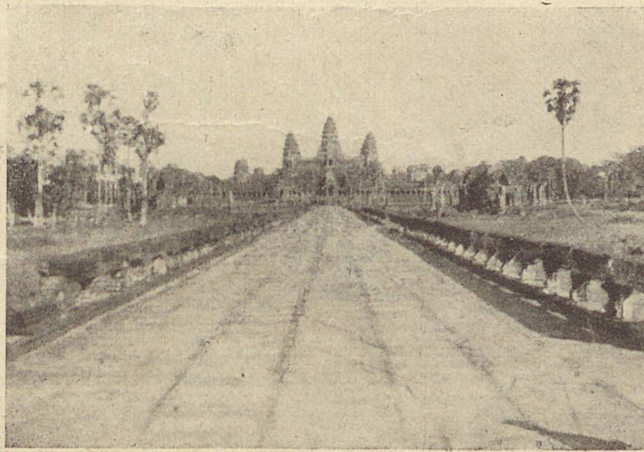
Często spotykamy bonzów wędrownych, bądź pojedyńczych, bądź całe grupy w jaskrawych, szafranowo-żółtych, malowniczo udrapowanych szatach. Ludność anamicka przedstawia się bardzo sympatycznie — drobne, zgrabne, szczupłe postacie, koloru jasnego bronzu, o pięknych oczach gazeli, mają oni w obejściu jakiś wrodzony łagodny wdzięk. Wśród młodych dziewcząt i chłopców widzi się nieraz śliczne twarze.

Przez szeroko rozlaną rzekę, jeden z dopływów Mekongu, przejeżdżamy wolno promem. Po tamtej stronie jest już Kambodża.

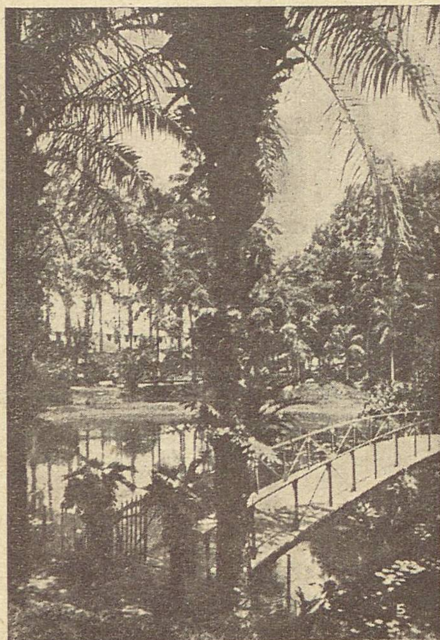
230 kilometrów, dzielące Saigon od Pnom-Penh, stolicy Kambodży, minęły nadspodziewanie szybko. Migają w gęstwinie drzew pagody i świątynie o strzelistych dachach i śpiczastych wieżyczkach, stylem przypominające architekturę pobliskiego Siamu. Most na szerokiej rzece Mekong, obszerne aleje, wysadzane drzewami, szereg budowli częściowo europejskich, częściowo krajowych. Zanim pojedziemy do hotelu, trzeba się śpieszyć, aby zdążyć obejrzeć jeszcze przed wieczorem muzeum i pałac królewski. Pierwsze zawiera przeważnie wykopaliska z Angkoru i znajduje się równie jak i Muzeum Blanchard de la Brosse w Saigonie pod kierownictwem Ecole Française de l'Extrême Orient. Rezydencja królewska obejmuje kompleks pałacy, świątyń, zabudowań dworskich, mieszkań tancerek królewskich, mnichów nadwornych. Tu się znajdują najciekawsze budowle tej dość dziwacznej ale wdzięcznej architektury współczesnej kambodżańskiej, t. j. sala tronowa i srebrna pagoda — taka zwana od pokrytej srebrną blachą podłogi. Admirujemy w niej złotego Buddę naturalnej wielkości o brylantowych oczach i Buddę z jade'u; potem jeszcze wizyta u „święte-



Phnom-Penh. Sala tronowa.



Anghor Vat.



Saigon. — Ogród botaniczny.

go" białego słonia, który bardzo lubi trzcinę cukrową — wreszcie zasłużony spoczynek w hotelu. Gdyby nie egzotyczna służba, hotel na pierwszy rzut oka nie różniłby się niczem od każdego hotelu w Szwajcarji czy na Riwierze. Ten sam hall, ci sami turyści amerykańscy, to same prawe menu. Tylko to powietrze aromatyczne, wilgotne, niemal odurzające, pełne woni nieznanych kwiatów i śpiewu niewidzialnych owadów, nad któremi góruje chór cykad, które wpływa z ogrodu przez szerokie otwarte tarasy, przypomina, iż jesteśmy daleko od Europy. Noc tropikalna przez otwarte okna bez szyb wpływa i do pokoju, gdzie po ścianach biegają szaro - zielone jaszczurki, tępicielki moskitów i much.

O świcie jedziemy dalej — znów parę razy przeprawiamy się przez rzeki i jeziora promem, mijamy wioski, ukryte wśród dżungli, plantacje trzciny cukrowej, bananów i palm kokosowych. Kambodża o wiele bardziej jest malownicza od Kochinchiny. Coraz częściej droga idzie przez dżunglę, której ściana nieprzebyta wznosi się po obu stronach drogi. Gdzieś koło południa stajemy w Kompong-Thom, gdzie w skromnym ale miłym hoteliku francuskim spożywamy lunch, w towarzystwie uroczych kotów siamskich, poczem gospodarz prezentuje nam swą domową menażerję: dwie pantery, kilkanaście małp, szakala i wspaniałego tygrysa, który bardzo lubi, aby go drapać za uchem i mruczy jak kot.

Jeszcze ostatni etap — sto kilkadziesiąt klm. do kresu podróży, Siemreap, miłego miasteczka kambodżańskiego, otoczonego dżunglą, skąd tylko 5 klm. jest do Angkoru. W Siemreap są dwa hotele dla turystów, tam też rozbijemy namioty, gdyż hotel-bungalow w samym Angkorze, nawprost Angor-Vat'u, zamknięty jest chwilowo (z powodu braku turystów). Pali nas niecierpliwość, aby co prędzej ujrzeć Angkor — zaledwie więc trochę ogarnąwszy się i pokrzepiwszy po długiej podróży, siadamy z powrotem do auta. Nasz anamicki szofer nie pyta nawet, dokąd ma jechać—wie on dobrze, jaki jest cel pielgrzymki białych turystów. Jedziemy świetną drogą przez dżunglę, a te ostatnie kilometry wydają się chyba najdłuższe. W jakiejś chwili ponad drzewami wyrastają fantastyczne wieże — jeszcze jeden skręt i stajemy na szerokiej esplanadzie nawprost głównego wejścia Angkor-Vat'u. Szeroka droga, wyłożona granitowemi płytami, ujęta rzeźbioną balustradą, ciągnie się na pół-kilometra aż do pierwszych galerji zewnętrznych poprzez szeroki kanał, miejscami zarosły wodnemi linjami, otaczający cały Angkor Vat. W różowych blaskach zachodu odbija się w nieruchomej wodzie fantastyczny pałac — świątynia, zjawisko z 1001 nocy, pałac z czarodziejskiej bajki o śpiącej królewnie, objęty wokoło pierścieniem dżungli. Taka jest wokoło cisza, milczenie, nieruchomość tej budowli, tak zjawiskowa, nieprawdopodobna i do niczego na świecie niepodobna jest ta architektura z bajki, że jak oczarowani w głębokiem milczeniu stoimy długą chwilę, niepewni, czy to nie jest cudowny sen, z którego zbudzimy się za chwilę. Widok Angkoru jest chyba jednem z najbardziej wstrząsających wrażeń artystycznych na świecie.

Angkor i jego cuda zostały odkryte i wydarte dżungli bardzo niedawno. Przed 60 laty francuski uczony, naturalista i geograf, Mouhot, przedzierając się z ekspedycją swą przez dżunglę, natrafił przypadkiem na ruiny Angkor-Vat'u, ruiny wspaniałej i tajemniczej cywilizacji zaginionego ludu Khmerów, których państwo istniało od IX do XIII wieku naszej ery, doszło do niebywałego rozkwitu kultury i sztuki, o czem świadczy wspaniała i potężna architektura i rzeźba, i z przyczyn niewiadomych z powierzchni ziemi zniknęło, jakby wskutek jakiejś niebywałej katastrofy. Katastrofa dotknęła jakby ludzi a nie budowle. Opustoszały cudowne pałace, świątynie, dżungla powoli pochłonęła miljonowe miasto i spowiła je na długie wieki zielonym całunem. Zginęła bez śladów wspaniała cywilizacja — zniknął sam naród Khmerów. Dzisiejsza bowiem ludność Kambodży wprawdzie w typie przypomina bardzo postacie z płaskorzeźb Angkoru, znajduje się jednak na wybitnie niskim poziomie cywilizacji i nie zachowała nic prócz mglistych legend z królewskiej spuścizny swych przodków.

Ad. Ka.

DALSZY CIĄG W NASTĘPNYM NUMERZE



Phnom-Penh. Świątynia.

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta", której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Zapewne, za chwilę ojciec wejdzie do loży i powie: — „Wiecie, co przed chwilą zrobił krytyk Z. czy X.?" Wziął ojca Marty pod rękę i usiadł z nim na kanapie w foyer! Tak zrobił, pomimo, że jest tak znany! Ludzie na nich patrzyli i oglądali się za nimi. A on! Ten sławny Z. czy X. mówił o Marcie, że ma „wielki talent!" Tak mówił! Czy ona słyszy? Owszem, słyszy, ale, co ją to może obchodzić wobec tego, że wczoraj Jurek wyraził jej swoją wdzięczność za dekoracje i pocałował ją w rękę ustami ciepłemi i mocnemi (jak blisko wtedy patrzyły jego oczy).

*

Na drugi dzień po premjerze Marta posyła służącą po wszystkie dzienniki.

„Dziennik Warszawski" w sprawozdaniu o wczorajszej premjerze donosi między innemi, że autor mówi w swej sztuce o takich uczuciach, o których można mówić przy młodzieży, (o miłości ojczyzny, o miłości czystej do własnej żony, o dobroci ludzkiej). To powinnoby zabić sztukę, a jednak to... zwycięża. Djalogi płynąc ze sceny rwącym potokiem są uosobieniem poezji i reformatorskim buntem wobec współczesnej nonszalancji językowej i mody używania żargonu codziennego.

Marta nad tą recenzją zastanawia się dłużej niż nad innemi. Czego ta recenzja dowodzi? Zaprzecza Jurkowi „codziennemu", zaprzecza jego cynizmowi, jego nonszalancji, jego zblazowaniu. Zaprzecza nawet jego żargonowi potocznemu i jego złej polszczyźnie. Co w tem jest? Blaga literacka? Czy tęsknota za czemś, czego w życiu się nie znajduje?

Pod koniec recenzji czyta bez entuzjazmu słowa: „Dramat ten zasługuje na uwagę i ze względu na dekoracje wybitnej znawczyni sceny Marty Tarasowiczówny". — Nic więcej.

„Poranek Warszawski" zachwyca się „dekoracjami", które przyczyniają się w dużej mierze do podniesienia wartości przedstawienia. Zwłaszcza dwa obrazy „Wnętrze Synagogi" i „Dom pod Krzysztofem" zasługują na szczególną uwagę. Oba te obrazy, publiczność, oceniając słusznie miarę wysiłku artystycznego, znakomicie harmonizującego z treścią dramatu, przyjęła oklaskami przy otwartej kurtynie". — Marta wie, że to jest napisane pod wpływem rozmowy prof. Linka z krytykiem „Poranku Warszawskiego".

„Dziennik Polski" pisze coś o technicznym splendorze sztuki, a „Działacz" wspomina o „Renaissansowej bujności i finezji dekoracyjnej". Oczywiście krytyk Spasowski w „Nowościach Literackich" nawet nie raczy o dekoracjach Marty słówka napisać. Nie lubi wydawać sądu o młodych, nieznanych.

Zato kontrastowo dr. Widrakiewicz w „Pionerze" entuzjazmuje się nad Martą i wali pół szpalty o niej samej! (Czy nie dlatego, że ona sama mu się tak bardzo podoba?).

Oh! Ludzie! Ludzie! Czy można w wasz sąd wierzyć? Jeden krytyk zaprzecza drugiemu, trzeci czwartemu. Marta wcale się temu nie dziwi, że bohater feljetonu Makuszyńskiego po przeczytaniu recenzji jednej sztuki w kilkunastu pismach najpierw zaśmiał się dziko, a potem... zwarjował!

W każdym razie ta wzmianka o poprawnym szablonie dekoracyjnym w tygodniku „Ryt" nie może jej unieszczęśliwić (tembardziej, że o Lipowskim wszystkie gazety piszą w superlatywach).

Te wszystkie recenzje trzeba wyciąć nożyczkami i wkleić do swego albumu artystycznego, stawiając nad niemi czerwonym atramentem wypisaną datę. Przy tej okazji przegląda dawne, krzywdzące recenzje z F. D. V. i te inne z wystaw warszawskich i kazimierskich — Emil, jak cień, przesuwa się poprzez ten trud ostatniego roku. Marta teraz dopiero przypomina sobie, że od tygodnia już nie była u jego matki. Zaślepiona, zapatrzona w swoje nadzieje i w swoje życie zapomniała o wszystkiem i wszystkich! Okropność! Przecież pani Kossacka wczoraj musiała gorzko płakać nad tem, że to nie jej Emilek dekorował tę sztukę! I nie Emilek czytał dzisiaj w gazetach pochwały!

Pozatem... zupełnie zapomniała o „Busiwie". Podobno wspólniczka jej, Baśka, dzwoniła do niej już kilkakrotnie, tylko nigdy jej w domu nie zastawała. Oh, ta Baśka napewno czekać musi na jej powrót, jak na zbawienie! (Lada dzień przecież spodziewa się dziecka)... Gruba, brzydka, ociężała... Jakże o niej można było zapomnieć i nie wyręczyć jej w pracy?

Marta przypudrowuje twarz, wciska bylejak kapelusz na prawe oko, narzuca na siebie futro, wciąga nagwałt boty i wraca z przedpokoju po zapomniane rękawiczki i mufkę.

Pędzi. Jest przecież szczęśliwa i wobec tego niewolno jej zapominać o tych, którzy szczęście swe stracili. Oczywiście słowo „stracili" jest dobrem określeniem dla matki Emila, ale dla sytuacji Baśki jest określeniem ni w pięć, ni w dzie-

Dalszy ciąg powieści na stronie 14-tej

OBECNA MODA W PARYŻU



Suknia wieczorowa z czarnego crêpe mat. Model Robert Piguet.

Tegoroczna moda jest tak wyszukana i wypracowana i odznacza się tak wielkiem bogactwem pomysłów, że ma się wrażenie, iż w roku przyszłym nie będzie można już nic nowego powiedzieć w tej dziedzinie. Niektórzy twórcy i twórczynie paryskiej mody, jak Madeleine, Vionnet i Lucien Lelong, szukali natchnienia dla swych kreacyj w antycznej Grecji. Widzimy więc suknie wieczorowe przeważnie drapowane, o miękko spadających fałdzistych linjach. Trzechsetlecie przyłączenia wysp Antylskich do Francji lub zamieszania i rozruchy polityczne w Egipcie nie pozostają bez wpływu na obecną modę.

Jeanne Lanvin po powrocie z podróży w zamorskie kraje usiłuje zastosować swe wrażenia do klijentek paryskich, chociażby w sposobie malowniczego drapowania chusteczek na głowie na sposób i modłę z wyspy Jamajki. A cóż dopiero mówić o wpływie Dalekiego Wschodu, o owych tunikach chińskich w tonach pastelowych, które jak odświętne szaty mandaryna kwieciście przybierają smukłe sylwetki kobiet. Niektórzy twórcy mody, jak Robert Piguet i Patou, starają się owe tendencje wschodnie bardzo jeszcze uwydatnić, pokazując niektóre ze swych kreacyj na modelkach o typie i pochodzeniu indochińskim.

Skoro już mówimy o kwiecistych materjałach, nie należy zapomnieć o tryumfie materjału t. zw. „Velna", który do złudzenia przypomina zarówno wyrobem, jak i deseniem nasze wzorzyste chłopskie chustki. Moda ta wprowadzona z Austrji, a właściwie z Tyrolu malowniczością swą odmładza kolekcje sukien. Kostjum „tailleur" jest dyktatorem tegorocznym. Tailleur we wszystkich godzinach dnia i nocy. Bożyszczem mody jest „Tailleur de minuit", ulubiony strój wieczorowy kobiety, zastosowany do obecnej epoki kryzysu.

Pod pozorem skromnego, niby nic nie mówiącego klasycznego stroju, „tailleur de minuit" jest nie mniej eleganckí od przeciętnej balowej toalety, z tą tylko różnicą, że na głęboko wycięty dekolt sukni narzuca się nie lekką powiewną zarzutkę, lecz smoking, żakiet, który w danej chwili tworzy całość wykwintną, lecz skromną. Wystarczy jednak tylko jednego ruchu, by po zdjęciu smokingu chryzalida zamieniła się w pięknego motyla. — „Tailleur de minuit" — zamienia się w dekoltowaną suknię wieczorową. Oto tajemnica tryumfu „tailleur de minuit" i stąd jego wielkie powodzenie. Robert Piguet, jeden z bardziej pomysłowych krawców paryskich, w krótkim czasie uzyskał rozgłos dzięki tej nowej i praktycznej modzie.



Modele spacerowe Robert Piguet.

Jedną z większych nowości bardziej oryginalnych, którą również wprowadził Robert Piguet, są rękawy wysoko upięte, tak zwane „manches à gigot". Widoczny wpływ historycznej sztuki E. Bourdet'a „Margot", granej w tym sezonie na scenie teatru Marigny. Piękne kostjumy do tej sztuki Małgorzaty ks. Nawarskiej wykonane w atelier Jeanne Lanvin stały się furorą paryskich elegantek. Każda z nich pragnęła mieć coś „à la Margot". Powstała więc cała serja tualet, a nawet kapeluszy à la Margot. Odżyła epoka Henryka III Walezjusza, króla Francji i Polski. Skoro już mowa o kapeluszach, to muszę wspomnieć o tendencji do noszenia melonów i kapeluszy na modłę męską. Jest to wpływ modernizmu, jaki się stara wprowadzić zawsze pełna oryginalności właścicielka domu Schiaparelli. A obok tego kapelusze z celophanu, a nawet ze szkła, które mają mieć zastosowanie do nowej fryzury „à l'ange", tak przynajmniej wyrokuje Madame Agnès. Molyneux wprowadza modę „plissés soleil" sukien i płaszczy plisowanych. Szary, blado - niebieski i wszelkie odcienie czekoladowo bronzowego wraz z ostatnią nowością połączenia czarnego z żółtem tworzą nową modną gamę kolorów.

Oddzielną, całkiem niezależną stronę mody stanowią tak zw. „fanfreluche" i „colifichets"; są to owe drobnostki, jak kołnierzyki, kryzy, falbanki, o których się mówi, a które dodają szyku, smaku i dopełniają toalety. Nieodzownym atutem „tailleur de minuit" jest bluzka. Bluzka, która ostatniemi laty grała rolę kopciuszka, nie mając zastosowania, znów wchodzi na widownię świata. Bluzka o wielkim dekolcie w zastosowaniu do powłoczystej spódnicy tworzy nawet wieczorowy strój. To też ta nowa moda cieszy się wielkiem powodzeniem, czego dowodem, że niektóre domy specjalizują się wyłącznie w kreacji bluzek, jak np. Marcelle Landowska. Widząc jaknajróżniejsze kolekcje, z góry przewidzieć jest trudno, które z tych modeli znajdą największe zastosowanie.

Paryżanka bowiem jest surowym sędzią i adoptuje niektóre tylko modele, te, które jej zdaniem są rzeczywistym wyrazem elegancji.

Na inauguracyjnym wieczorze nowej Ambasady Polskiej w pałacu ks. de Sagan przeważały suknie o linjach antycznych, a wśród nich kilka „tailleur de minuit" odznaczały się swą oryginalnością.

Sądzić więc z tego można, że wytyczna linja mody w tym właśnie pójdzie kierunku.

Emilja Brunerowa.

Paryż, w maju 1936 r.



Suknia wieczorowa z białego crêpe mat, draperja tworzy tren, który może też, odpowiednio spięty stanowić cape. Model Lucien Lelong.



Bluzka do stroju wizytowego. Model Maison Landowska.

Dalszy ciąg powieści ze strony 11-ej

więc. Doprawdy, że nawet niewarto Baśce współczuć. Mąż ją kocha, oboje są zdrowi i młodzi, oboje chcą mieć chłopczyka (koniecznie obstalowany chłopczyk!). Więc o cóż chodzi? — Mój Boże, właściwie to losu Baśce można nawet pozazdrościć. Po-za-zdro-ścić! Tak, bo gdyby naprzykład tak Marta miała mieć dziecko z Jurkiem (właśnie z nikim innym, ale z Jurkiem), czułaby się chyba najszczęśliwszą kobietą na świecie.

„KOBIETA I MĘŻCZYZNA".

Życie Marty z dnia na dzień wraca do dawnego trybu i z dnia na dzień szarzeje.

W biurze obstalunki walą drzwiami i oknami.

Trzeba zwrócić większą uwagę na ozdobne pisma reklam.

Firma X. z neonowego oświetlenia nie jest zadowolona.

W firmie odzieżowej szyby zamarzają!

Firma galanteryjna prosi o punktualne załatwienie obstalunku (chodzi o te oryginalne manekiny w perukach z laki czarnej i czerwonej miedzi).

Firma z artykułami spożywczemi koniecznie chce mieć tło wystawowe z celofanu żółtego (podobne do tego, które Marta zaprojektowała dla firmy perfumeryjnej).

Sklep z kapeluszami ma pretensję, że stojaki wystawowe zacinają się przy podwyższaniu i obniżaniu.

Firma „Marie" (ta z gorsetami) ma pretensję do panienki, która urządzała wystawę, że nie zrobiła jej tak efektownie, jak firmie „Josephine". (Na tę absolwentkę kursów sztuki stosowanej trzeba zanotować drugą już skargę.).

Grzesik pracujący przy dekoracji witryn sklepowych podobno coś tam „buchnął" z gabloty magazynu obuwia! Czy to prawda? Czy też posądzenie rzucone na człowieka, który siedział już raz w więzieniu za kradzież rzeczy z mieszkania mistrza Chłopskiego?

Marta o tem wszystkiem musi myśleć i o niczem nie wolno jej zapomnieć. Marta nad tem wszystkiem musi czuwać. O nią teraz obijają się wszystkie skargi i wszystkie pretensje! Na jej głowę spadają ciągłe niespodzianki, spowodowane przez ludzi leniwych, niesumiennych, nieobowiązkowych lub nieudolnych. Często teraz bywa przepracowana i zdenerwowana. Naprzykład, dzisiaj zapomniała w tym całym gwałcie o Przetakiewiczównie, którą polecał jej gorąco stryj Staś jako swoją (zredukowaną) sumienną maszynistkę. — Zapomniała i dała zajęcie komu innemu.

Dziewczyna podobno na schodach rozpłakała się przez Martę.

Jakie to przykre... Jakie przykre... Nie dawniej jak przed pół rokiem dyrektor teatru im. Wyspiańskiego też o niej zapomniał, bo był przepracowany i zdenerwowany. Oh — teraz ona dobrze to rozumie.

Co do panny Przetakiewiczówny to wezwie ją listownie na jutro na 3-cią, to się jakaś praca dla niej stanowczo znajdzie.

Stanowczo.

Marta od dni kilku pracuje nerwowo. Zamyśla się. Irytuje się o byle co! Trudno z nią wytrzymać. Jest wymagająca, niecierpliwa, bezładna. Zmienia dyrektywy co pół godziny i rzucać każe nawpół wykończoną robotę, aby rozpocząć inną.

Ludzie jej nie poznają. Ludzie się dziwią.

Tylko ona jedna wie dobrze, co się z nią dzieje!

Oto... od ośmiu dni nie widziała Jurka! Od ośmiu dni straciła z nim kontakt.

Z początku miała nadzieję, że on przypomni sobie o niej, że postara się ją zobaczyć, że... zatelefonuje. Ale minął poniedziałek i minął wtorek i Jurek milczał.

Widocznie był „za wielki" na to, by się odezwać, był za „wygodny", by się pofatygować do niej i był zanadto „zblazowany", by wrażenie jej urody zachować w pamięci!

Przez całą środę i czwartek prześladowało ją uczucie okropnego zawodu i upokorzenia. W piątek zaś paniczny strach ogarnął ją, żeby Jurek nie spakował walizek i poprostu nie wyjechał?

Tego dnia przyjmowała interesantów niezbyt uprzejmie i słuchała ich zamówień jednem uchem.

Na szczęście, wieczorne gazety uspokoiły ją pod tym względem. Warszawa „sławnego rodaka" przyjmowała owacyjnie, urządzając na jego cześć w piątek Raut, w sobotę — Akademję, w niedzielę oficjalne śniadanie, we wtorek Bal Sztuki, dekorując go w międzyczasie jednym i drugim orderem i mianując go w międzyczasie członkiem tej i tamtej instytucji.

W sobotę więc Marta jest zupełnie możliwa do zniesienia, a od południa sobotniego (to znaczy od chwili oficjalnego zaproszenia jej do „Jury" konkursowego na wtorkowy Bal Sztuki) staje się nawet idealną zwierzchniczką! Miłą, uśmiechniętą, wyrozumiałą i wesołą!!!

Chłopski doprawdy nie wie, czy starczy skórki na wyprawę i czy opłaci się ta cała impreza balowa? Coprawda, to za jego interwencją kilka firm ofiarowało po zniżonych cenach materjał potrzebny do dekoracji sal, a dwa najlepsze jazzy i jedna orkiestra obniżyły cenę przygrywania do tych „wygibasów" tanecznych. Pomimo to wydatki rosną, a dochód z balu (wobec kryzysu) nie zapowiada się najświetniej.

Tymczasem jeden staruszek rzeźbiarz nagwałt potrzebuje już większej zapomogi (pokrywającej zaległe komorne za siedem miesięcy) i Janek (ten z trzeciego semestru) czeka jak na zbawienie na wysłanie go do Zakopanego (analiza jego plwocin wykazała obecność laseczników Kocha), pozatem tylu innych jeszcze marzy o rezultatach kasy balowej. (D. c. n.)

ŚWIAT TEATRU

TEATR LETNI: „Nieusprawiedliwiona Godzina" — komedja w 5-ciu aktach Stefana Bekeffi, przekład K. Romockiego. Reżyserja J. Warneckiego.

Okazuje się, że dzieci są nietylko „przyszłością narodów" ale i... teraźniejszością teatrów. Przynajmniej w znaczeniu ich kasowości. Taka jest widocznie opinja kierownictw teatrów warszawskich. Mamy bowiem w tej chwili trzy sztuki, gdzie szkoła lub jej wychowanki są „bohaterskiem tłem" scenicznych konfliktów. W „Maturze" w teatrze Kameralnym — jako temat wystąpiło prawo maturzystki do poufności własnych dziewczęcych przeżyć. Surowe prawo pedagogiczne znajduje tam wyraz i upostaciowanie w galerji typów nauczycielskich ze sztubackiem zadowoleniem wyśmianych przez autora. W „Trafice Pani Generałowej" widzimy dopiero co upieczoną maturzystkę, ratującą w naiwny sposób „cnotę" starszej siostry. W „Nieusprawiedliwionej Godzinie" mamy znów do czynienia z nieukończoną maturzystką, która miała maturę dopiero in spe, a która w rezultacie przez przedwczesne zamążpójście ma in spe maturę macierzyństwa.

Trzech węgierskich autorów z różnym humorem, innym pod względem wartości dowcipem obrało sobie za bohaterki i za oś swych sztuk — trzy dorastające panienki. Trzy „naiwne" postawiono „oko w oko" z życiem. Te trzy węgierskie „Bębny" nie mają lekkości ich prototypu, poruszają jednak ten niezawodny podkład sentymentalizmu, jaki każdy człowiek ma dla okresu dzieciństwa, dla okresu szkolnego.

„Młody Las" zawsze tryumfuje. Jan Adolf Hertz może być dumny. Ta jest jednak różnica między twórczością węgierską a Hertza, że pisał on swój „Młody Las" nie poto, aby bawić, lecz poruszył prawdę dokumentalną, sięgnął do faktów prawdziwych, wyposażył je w szczery sentyment i stworzył sztukę, gdzie komizm sytuacji i humor nie zabiły melancholji wspomnień. Dlatego „Młody Las" będzie co dziesiątek lat wracał z powodzeniem na repertuar.

Ze wszystkich trzech sztuk węgierskich, gdzie perypetje maturalnych bębnów z miłością, mężczyzną i szkołą rozwinięto przed nami z animuszem, najsłabsza jest niewątpliwie „Nieusprawiedliwiona Godzina". Autora stać było tylko na wcale niezły pomysł. Nie mógł on sobie jednak z nim zupełnie poradzić. Skondensowany w jednoaktówkę lub skecz pomysł ten mógłby tryskać humorem. Zbudowany jako komedja w 3-ch odsłonach mógłby być równy, zabawny. Rozciągnięty jednak na 5-ć odsłon „odsłania" niezaradność autora, nie umiejącego poradzić sobie z rozwinięciem i zakończeniem akcji. Zabawne sceny, zabawne typy, nieliczne dowcipne powiedzenia giną poprostu w dłużyźnie sztuczki. Niema w tym bębnie Bekeffiego lekkości Caillavetowsko de Flersowskiej, a to jeszcze ujemniej podkreśla zbędne dłużyzny.



Rotterowa, Lindorfówna, Zejdowski.

Pomimo tych zastrzeżeń można się na tej komedyjce rozerwać i pośmiać. Moment obrzydzenia, okazywanego przez młodą pensjonarkę pustce życia sfer t. zw. towarzyskich, mógłby nawet dawać pole do rzetelniejszej satyry — ale tej okazji autor nie wyzyskał i szybko ją ominął.

Reżyserja Warneckiego była udana. Sztuka poprowadzona została żywo. Nie dawała ona pola ani do popisu, ani do większego wysiłku. Rzetelna robota i uwaga skierowane na nadanie odpowiedniego tempa i starannego prowadzenia djalogu wystarczały.

Rolę wagarującej uczennicy, przedwczesnej mężatki i profesorowej odtworzyła z wdziękiem i przekonaniem Lindorfówna. Przeistaczała się ona umiejętnie i zręcznie z poczwarki w motyla i odwrotnie (a to już trudniejsze). Doskonałą sylwetkę rozczochra-



Rada pedagogiczna w akcie 5-ym Brzezińska, Karpowiczówna, Rozińska, Ormid, Rotterowa (stoi), Bukojemska, Zejdowski, Norosowicz, Milecki.

nej uczennicy-koleżanki stworzyła Hanka Brzezińska. Dobrze, że przypomniano sobie w dyrekcji o tej inteligentnej, posiadającej niezaprzeczony zmysł humoru i komizmu oraz prawdziwy wdzięk naturalnej bezpośredniości młodej artystce. Po jednej dobrej roli — obsadzono ją najniewłaściwiej w świecie, poczem znikła na długo. Magda Hofman — Brzezińskiej — to najlepszy epizod ostatniej premjery.

Różyckiemu stworzono już specjalność, w której trudno odbiedz od szablonu. Jak zawsze ma on dobrą dykcję i bez wysiłku trzyma się na wyżynie swej rutyny. Świetnym profesorem był Orwid, Rygier, Dereń, Rotterowa b. dobrzy i zabawni. Żabczyńska z determinacją i impetem była prymuską-lizusem. Bukojemska jeszcze raz przypomniała swą wysoką zdolność imitacji, jaką oklaskiwaliśmy kiedyś w jednym z kabaretów, gdy dawała karykatury koleżanek. *L. Ch.*

TEATR POLSKI: „Ostatnia Nowość", komedja w 4-ch aktach J. Bourdet'a, reż. Jerzego Leszczyńskiego.

W Teatrze Polskim wznowiono komedję Bourdeta p. t. „Ostatnia Nowość". Jest to lekka, satyryczna komedja, wyśmiewająca stosunki wydawnicze we Francji. Pierwsze dwa akty przedewszystkiem, w których akcja pędzi, kipi, są typowym wzorem francuskiego teatru bulwarowego. Historja nagród literackich, w których wielką rolę odgrywa wpływ i interes księgarza wydawcy, od-



Leszczyński nonszalancki Marechal.



Przypadkowy laureat — Daczyński z żoną inspiratorką — Gorczyńską.



Gorczyńska była naturalna i szczera.

malowana została przez autora bez osłonek. Wzajemne kopanie dołków pod sobą przez wydawcę i autora też potraktował Bourdet z odpowiednią dozą ironji.

Historyjka o przypadkowym laureacie, który zwyciężył „bo nikt nie wiedział, kto to taki, bo nikt go nie popierał", ma swój smak paryskiego kpiarstwa i szyderstwa z wszędobylskiej protekcji. Niestety, w akcie 3-im i 4-ym tempo słabnie. Pewna rozwlekłość występuje coraz silniej, od chwili gdy autor wyladował gros swej pasji satyrycznej. Wznowienie tej komedyjki daje nam możność stwierdzić umiejętną i błyskotliwą reżyserską pewność siebie Jerzego Leszczyńskiego.

Tempo. Djalog. Ton lekkokomedjowy nadany zespołowi przez reżysera w dużej mierze przyczynia się do powodzenia tego wznowienia, motywowanego zapewne względami kasowemi.

Para „laureatów", bo choć nagrodzoną powieść napisał Daczyński, to jednak nagrodę zdobył dzięki przedsiębiorczości żony Gorczyńskiej, była naturalna i szczera — więcej od ich typu ról nie trzeba wymagać. Swobodnie, wesoło i bez przymusu odtworzyli swe postacie literackiego małżeństwa francuskiego. Ze zwykłą swą werwą grał Leszczyński „odpalonego" w ostatniej chwili „pewniaka" nagrodowego. Nieco bufonowata pewność siebie wziętego autora odtworzona została przez niego dobitnie i z nonszalancką swobodą. Samborski jako księgarz wydawca był doskonały. Typ przemysłowca księgarskiego, co z łezką w sercu, lirycznie nabić by pragnął nawet towarzysza z okopów, miał w jego ujęciu plastykę i właściwy koloryt. Fritsche, Wroncki, Małkowski stanowili czoło dobrego i sprawnego zespołu. *L. Ch.*

MIESIĘCZNIK LITERACKI „STUDIO".

Ukazał się numer drugi (majowy) nowego miesięcznika literackiego STUDIO w podwójnej objętości (64 strony) i nowej szacie graficznej. Na bogatą i różnorodną treść numeru składają się między innemi: artykuł *Zofji Nałkowskiej*, noszący charakter osobistego wyznania autorki p. t. „O pisaniu", *Michała Choromańskiego* „Dwie pacjentki", Bruno Schulza „O sobie", utwory Zofji Goździejewskiej, Witolda Gombrowicza, Zofji Zahrtowej, oryginalna nowela estońskiego pisarza Augusta Gailitha. Numer zamyka ciekawie pomyślana kronika teatralna i zwięzłe recenzje z ostatnich wydawnictw książkowych.

ZAPISY DO PAŃSTWOWEJ SZKOŁY MORSKIEJ

Państwowa Szkoła Morska podaje do wiadomości, że podania o przyjęcie do Szkoły na Wydział nawigacyjny i mechaniczny należy składać najpóźniej do dnia 15 lipca r. b. pod adresem: Dyrekcja Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, ul. Morska 83.

Od wstępujących do Szkoły wymaga się:

a) wieku 17 — 19 lat, licząc od dnia 1 sierpnia 1936 r.,

b) ukończenia szkoły typu gimnazjalnego (6 klas szkoły średniej państwowej lub prywatnej z prawami),

c) poddanie się badaniu lekarskiemu przez Komisję Lekarską przy Szkole (20 lipca o godz. 9-ej rano) lub w Instytucie Psychotechnicznym (Warszawa, ul. Mokotowska 53—53) dla oceny stanu zdrowia,

d) złożenia egzaminów wstępnych z języka polskiego, arytmetyki, algebry, geometrji, fizyki i chemji z zakresu programu gimnazjum państwowego typu matematyczno - przyrodniczego.

Nauka w Szkole jest bezpłatna. Za utrzymanie w Internacie na rok szkolny 1936/37 ustalona została opłata w wysokości zł. 1.000 rocznie.

Bliższe i dokładniejsze informacje, dotyczące egzaminu wstępnego, wnoszenia podań, umundurowania i przebiegu wyszkolenia udziela pisemnie Państwowa Szkoła Morska.

Korespondencję należy adresować: Państwowa Szkoła Morska, Gdynia, ul. Morska 83.



Przedstawienia młodego „Warsztatu teatralnego" cieszą się zasłużonem powodzeniem.
Zamieszczamy powyżej zdjęcie z „Orfeusza" Cocteau w przekładzie Romana Kołomeckiego, reżyserji Krystyny Sewerynówny. Na tle dekoracji W. Ujejskiego stoją: Jerzy Chodecki — Orfeusz, znakomita młoda aktorka, Janina Piaskowska — Eurydyka i Jan Kreczmar — Heurtelis.
Ciekawe i inteligentne ujęcie reżyserskie Sewerynówny zwróciły na tę utalentowaną młodą siłę uwagę świata artystycznego.

Teatr w Wilnie

Pracując wytrwale i stworzywszy kulturalną placówkę polskiej sztuki w Wilnie — obecny zespół teatru wileńskiego pracuje rzetelnie, wystawiając sztuki z poważnego repertuaru, oraz z klasycznego żelaznego kapitału teatru polskiego. Wśród zespołu utalentowanych artystek cieszyła się stale powodzeniem młoda, pełna wdzięku i urody p. Lili Zielińska. Wystąpiła ona ostatnio w „Weselu Figara" Beaumarchais.



„Wesele Figara" Beaumarchais na scenie wileńskiej. Lili Zielińska i W. Ścibor.



Z dziedzin wytwórczości, w których Wielkopolska wyróżnia się z pośród innych dzielnic Polski, wymienić należy meblarstwo. Rozwinęło się ono niebywale od r. 1918, osiągając wysoki poziom i bijąc konkurencję zagraniczną. Przoduje w tej wytwórczości fabryka *J. Sroczyńskiego* w Poznaniu Meble jej odznaczają się niezwykłem pięknem i niespotykaną gdzieindziej doskonałością techniki. Każdy sprzęt wychodzący z tej wytwórni, to dzieło sztuki meblarskiej o nieprzemijającej wartości artystycznej. To też meble Sroczyńskiego znane są w Polsce a nawet zagranicą. Stałe wystawy mebli tej firmy mieszczą się w Poznaniu, ul. Marsz. Focha 4 i w Warszawie, ul. Sienkiewicza 11. Warto je zwiedzić.

Pobyty ryczałtowe w Augustowie

Augustów, jeden z najpiękniejszych ośrodków sportów wodnych, posiada wspaniałe warunki naturalne. Pobyt w Augustowie daje możność odbycia ciekawych wycieczek wodnych po jeziorach Augustowskich i po kanale Augustowskim. „ORBIS" organizuje w Augustowie pobyty ryczałtowe.

Cena 10-dniowego ryczałtu w okresie od 1 maja do 20 czerwca i od 20 sierpnia do jesieni wynosi 37.— zł. (pokój 1-osobowy) i 33.— zł. (pokój 2-osobowy). Cena 10-dniowego ryczałtu w okresie od 20 czerwca do 20 sierpnia wynosi 50.— zł. (pokój 1-osobowy) i 45.— zł. (pokój 2-osobowy). Ryczałty powyższe obejmują całkowity koszt pobytu w pensjonacie „Niemiryczanka" w Augustowie.

Czwarty Festival Teatralny w Z. S. R. R.

W ciągu ostatnich lat otwarcie zimowych sezonów teatralnych w ZSRR poprzedzane są tradycyjnemi teatralnemi festivalami, na które zjeżdża się wiele gości zagranicznych.

Program tych festivali zawiera nowe sowieckie utwory dramatyczne i muzyczne.

Na festivalu teatralnym we wrześniu b. r. wystawiona będzie nowa opera „Cichy Don" znanego kompozytora M. Dzierżyńskiego według słynnej powieści Szołochowa.

Prócz tego w Festivalu tym bierze udział młody teatr gruziński im. Rustawelli, który wystawi sztukę p. t. „Arsen"

Moskiewski Teatr Rewolucji wystawi sztukę Selwińskiego „Biały Niedźwiedź-Mądrala".

Festivale teatralne w ZSRR dzięki dobrze ułożonemu programowi i świetnemu wykonaniu dają widzowi głębokie estetyczne zadowolenie.

Oto opinja niektórych gości festivalów — znawców sztuki teatralnej:

„Poczułem się w ZSRR, jak w ziemi obiecanej sztuki. Sztuka w ZSRR jest wspaniała." (Henry Lenorman, dramaturg, Francja).

„Poraz trzeci oglądam teatr sowiecki na festivalu w Moskwie. Uważam, że Wasz teatr jest najlepszy na świecie." (Hendly Carter, krytyk teatralny, Anglja).

„Czuję, że ani ja, ani ktokolwiek inny związany z teatrem nie może nie być obecnym na festivalach w Moskwie". (Morris Gest, impressario teatralny Stany Zjednoczone).

„Gorąco pokochałem teatr sowiecki, ponieważ jest on wyjątkowo ciekawy; jest to teatr jasnych myśli i wielkich idej" (Martin Anderson Hekse, pisarz Danja).

„Na teatrze sowieckim winny się wzorować teatry całego świata". (Wojta Nowak, reżyser, Czechosłowacja).

Podniesienie bandery w Oficerskim Yacht-Klubie

Dorocznym zwyczajem w niedzielę, 17 maja odbyło się uroczyste podniesienie bandery i otwarcie sezonu w Oficerskim Yacht-Klubie na Wybrzeżu Kościuszkowskiem.

Uroczystość zaszczycili swą obecnością: Wódz Naczelny gen. Edward Śmigły-Rydz, który jest honorowym komandorem klubu, minister spraw wojskowych gen. Tadeusz Kasprzycki, admirał Świrski, minister Ulrych, wojewoda Jaroszewicz, płk. Sławek oraz szereg wyższych wojskowych.

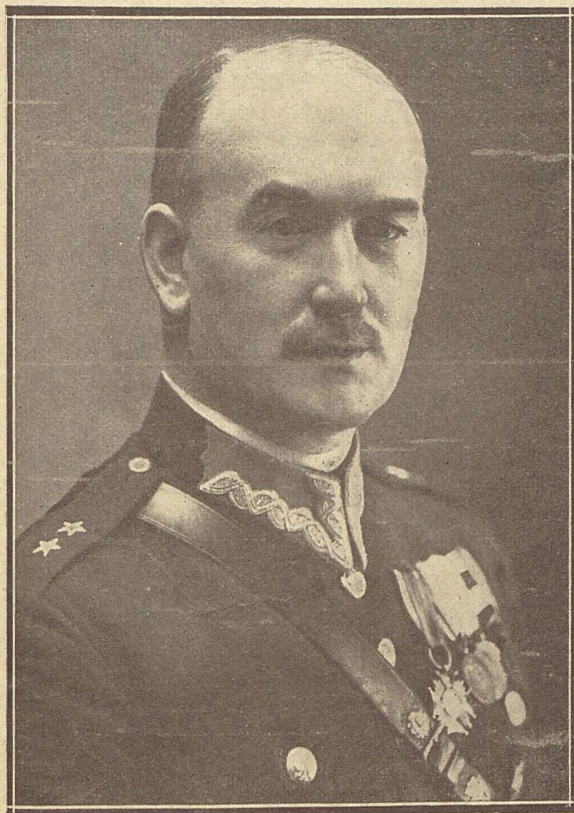
Licznie przybyli też goście zagraniczni: ambasador Francji p. Noel, poseł Estonji p. Marcus, poseł Persji oraz kilku attachés wojskowych.

Po podniesieniu bandery i wygłoszeniu przemówień gen. Śmigły-Rydz wpisał się do księgi pamiątkowej klubu.

Po zakończeniu uroczystości, zebrani zostali przyjęci lampką wina.

OD REDAKCJI

W związku z fotografjami z pobytu Marszałka Piłsudskiego w Zegrzu w roku 1934, zamieszczonemi w numerze 20 naszego pisma, podajemy niniejsze uzupełnienie: Chrzciny małego Gucia Daniłowskiego odbyły się w mieszkaniu matki chrzestnej, siostry pana Władysława Daniłowskiego (Dana), pani Elżbiety Daniłowskiej, Komendantki Kursu Juzistek.



ś. p. Ryszard Kanenberg

29 maja 1936 r. upływa rocznica tragicznej śmierci ś. p. Ryszarda Kanenberga. Zmarły, pełen inicjatywy i energji, od wielu lat stał w czołowym szeregu ludzi, poświęcających się całą duszą pracy społecznej.

Idea wychowania fizycznego i krzewienie jej wśród najszerszych warstw naszego społeczeństwa — oto czemu oddał bez zastrzeżeń swe wielkie walory, doświadczenie i szlachetny upór w dokonaniu powziętej decyzji w każdej sprawie, dotyczącej ogółu.

Człowiek ten niespożytą energją i cudownym entuzjazmem oraz nieugiętą wolą czynu promieniował na swoje otoczenie. Wychował całe zastępy dzielnych ludzi, zdolnych organizatorów i pionierów sportowych i społecznych.

Zahartowany udziałem w krwawej wojnie światowej, z której wyniósł rany i blizny, sponiewierany głodem niewoli niemieckiej, wstąpił po odzyskaniu wolności do Wojska Polskiego jako podporucznik. W uznaniu zdolności organizatorskich wysłany został do Francji na studja wojskowe i wychowania fizycznego. Po ukończeniu szkoły wrócił do kraju, otrzymał przydział do Ministerstwa Spraw Wojskowych i przy współudziale amerykańskiej Y.M.C.A. został pionierem wychowania fizycznego na terenie armji, a następnie wśród ludności cywilnej.

Życie Jego — po wystąpieniu z wojska w stopniu porucznika i objęcia stanowiska dyrektora administracyjnego w Sp. Akc. „Krusche i Ender" — stało się pasmem twórczej i wydajnej pracy na polu wychowania fizycznego.

Stworzył podwaliny sportu bokserskiego w Polsce — w Łodzi, zorganizował On pierwszy klub sportowy fabryczny w Polsce przy Sp. Akc. „Krusche i Ender" w Pabjanicach, organizował obozy dla młodzieży robotniczej, współpracował w Polskiej Y. M. C. A. i brał czynny udział w licznych konferencjach i zjazdach międzynarodowych.

Ś. p. Ryszard Kanenberg był członkiem niemal wszystkich stowarzyszeń społecznych i filantropijnych w Pabjanicach. Oto mandaty piastowane przez Zmarłego, świadczące chlubnie o Jego popularności i zaufaniu, jakiem darzyło go społeczeństwo: Prezes Związku Oficerów Rezerwy w Pabjanicach, Komendant Ochotniczej Straży Pożarnej w Pabjanicach, Honorowy Prezes Łódzkiego Okręgowego Związku Bokserskiego, Patron Tow. Sport. „Krusche i Ender", Wiceprzewodniczący Miejskiego Komitetu P. W. i W. F. w Pabjanicach, Wiceprzewodniczący Koła Przyjaciół Harcerstwa w Pabjanicach oraz Wiceprzewodniczący Europejskiego Komitetu Wychowania Fizycznego YMCA. z siedzibą w Salonikach. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, medalem za wojnę, medalem dziesięciolecia, medalem 3-go Maja, medalem Interalliés, odznaką pamiątkową b. Więźniów Ideowych z lat 1914—1921 oraz szeregiem odznak i dyplomów honorowych różnych organizacyj i związków.

Cześć Jego pamięci!

MONARCHJA LIPCOWA

W naszej literaturze historycznej pojawiają się przeważnie monografje, dotyczące dziejów Polski, co jest zresztą rzeczą zrozumiałą ze względów uczuciowych, znacznie natomiast rzadziej zajmują się nasi historycy opracowywaniem zagadnień z zakresu historji powszechnej. Z tem większem więc zainteresowaniem przeczytałem świeżo wydaną książkę młodego historyka, p. Henryka Wołkowicza, o monarchji lipcowej*), poświęconą pamięci zasłużonego działacza polskiego w Rosji, Aleksandra Lednickiego.

Dzieje monarchji lipcowej przedstawiają nader ciekawy i charakterystyczny osiemnastoletni okres XIX wieku (1830—1848 r.), kiedy po rewolucji lipcowej, obalającej tron Karola X, dochodzi do walki pomiędzy burżuazją a proletarjatem, a kompromisowe, chwiejne rządy Ludwika Filipa prowadzą do nowej rewolucji — lutowej, która po strąceniu z tronu monarchy proklamuje we Francji II-a republikę; był to okres wielce niespokojny, gdyż w kraju, który domagał się republiki i wielkiej akcji europejskiej, nie przestawano burzyć się przeciw mieszczańskiej gospodarce orleańskiego panowania. Ze względu na związek między Francją a Polską należy zaznaczyć, że w tym czasie przebywało na ziemi francuskiej wielu emigrantów politycznych polskich, zmuszonych do opuszczenia ojczyzny po upadku powstania listopadowego.

Jednakże czytelnik, szukający w wyżej wymienionej książce całokształtu dziejów panowania Ludwika Filipa, dozna pewnego zawodu. Autor nie zajmuje się przedstawieniem spraw społecznych i walki klas, które tak wydatną rolę odegrały w czasie trwania monarchji lipcowej, nie rozpatruje polityki zagranicznej, ani wewnętrznej w tym okresie, interesują go głównie 2 zagadnienia, a mianowicie sprawa konstytucji z 1830 r. i ordynacji wyborczej. Dlatego też książka powyższa nie jest wyczerpującą monografją, obejmującą panowanie we Francji Ludwika Filipa, jest to raczej studjum ustrojowo-konstytucyjne.

Na początku przedstawia autor rolę burżuazji francuskiej na przełomie rządów Karola X i Ludwika Filipa, opisuje, w jaki sposób po rewolucji

---

*) Henryk Wołkowicz: Monarchja lipcowa. Warszawa, 1935. Skład Główny Gebethner i Wolff w Warszawie.

lipcowej wstąpił na tron książę Orleański, którego panowanie było zawziętą walką króla przeciw warunkom tego ustroju państwowego, do obrony którego naród go powołał; to właśnie stało się tragedją jego rządów i doprowadziło wkońcu do ich upadku. Między innemi, podkreśla autor korupcję, panującą śród wyborców i posłów, oraz zależność od rządu i dworu posłów, których znaczna ilość, prawie 1/3 część, piastowała jednocześnie urzędy państwowe. Dalej analizuje autor konstytucję z 1830 roku, przedstawia walkę stronnictw w parlamencie francuskim, wreszcie szczegółowo omawia ordynację wyborczą, podkreślając przyczyny niezadowolenia społeczeństwa z rządów króla - mieszczanina, co doprowadziło wkońcu do katastrofy. Ograniczając się w ten sposób do spraw ustrojowo-konstytucyjnych, nie kusi się autor, wbrew tytułowi książki, o przedstawienie całokształtu dziejów monarchji lipcowej, co byłoby bardziej interesujące dla szerszej masy publiczności czytającej, nie liczy się też często z tem, że pewne sprawy mogą być niezrozumiałe dla przeciętnych czytelników, nie wyjaśnia np., co to były za prawa wrześniowe, o których wspomina, jako o rzeczach znanych (str. 47 i 48).

Opiera się młody autor na materjale, zawartym zarówno w dokumentach, mieszczących się w archiwum parlamentu francuskiego, jak i w licznych pamiętnikach współczesnych działaczy, jak Thiers, Guizot, Broglie, Lafayette i t. d., korzysta również z licznych monografij historycznych, zużytkowując powyższe źródła umiejętnie i sumiennie, szkoda tylko, że nie podał w końcu książki wykazu źródeł i opracowań, z których korzystał podczas pisania swej pracy.

Szata zewnętrzna, papier i druk przedstawia się dodatnio. Całość stanowi interesujący przyczynek do dziejów monarchji lipcowej w zakresie przedstawicielstwa narodowego, o co autorowi głównie chodziło, i świadczy o jego badawczych zdolnościach.

Dr. Z. Salinger.

HUGO F. KOENIGSGARTEN

WYJAZD

Warjaaje sceniczne na pewien temat

Temat: Młody człowiek nazwiskiem Rudolf Sternberg opuszcza miasto, by udać się do Berlina.

SZEKSPIR

Ulica.

(Słychać głosy trąb).

Herold (wchodzi): Miejsce dla mojego pana.

(Wchodzi sir Ruddy z orszakiem).

Sir Ruddy (do człowieka): Hej człowieku, odpowiedz! Zali droga ta zmierza do dworca?

Człowiek: Nie, panie, droga nie, już raczej wy, panie, jeśli tak się mogę wyrazić...

Sir Ruddy: Łotrze, dasz ty mi odpowiedź? Bo przebiję cię tym sztyletem! — (dał mi go ongiś stryj, gdy w walce padł z rąk Gundela) — Zali dojdę tędy do dworca?

Człowiek: Prawdę mówiąc, panie, jeśli mnie tak pytacie, odpowiem: Zapewne! Chyba, że z drogi zboczycie, co też się trafić może, ale wtedy już nie traficie, choć może i potraficie...

Sir Ruddy: Milcz, szubrawcze! — Do wieży go wrzućcie!

(Wszyscy wychodzą).

Inna ulica.

(Burza, błyskawice, grzmoty. Wchodzi sir Ruddy).

Sir Ruddy: Tak, wyjcie sobie! Wyjcie wichry! Świećcie błyskawice! Pioruny trzaskajcie, aż wszystko zcześnie i w pył się obróci! Jakaż krwawa noc bez końca! Grzmi i huczy, że zda się, piekło wypluwa wszystkich zmarłych! Auto! Auto! Republikę za auto:

(Głosy trąb. Ukazuje się a u t o)

Sir Ruddy (do auta): Tak więc! Oto los mój kładę w twe ręce. Czy dobrze czynię — okaże się wprędce!

(Głosy trąb. Wszyscy wychodzą).

*

SCHILLER

(Sala odświętnie przystrojona. *Hrabia Rudolf von Sternberg* wchodzi w błyszczącej zbroi).

Hrabia Rudolf v. Sternberg: Krew tętni w pulsach! Oczy płoną! O niebiańska chwilo błogiego szczęścia! Na skrzydłach olbrzymich ku niebu się wzbijam! — Słyszę kroki — ha! — to ona — mój anioł!

(*Hrabina* wchodzi cała we łzach).

Hrabina: Nieszczęsny odchodzisz?

Hrabia Rudolf v. Sternberg: Widzisz: muszę!

Hrabina: Ha, podły, bierz tedy — o zabierz me życie wraz z temi słowami!

Hrabia Rudolf v. Sternberg: O, słodki aniele! Zrozum — nie mogę inaczej! Nietylko z róż jest wieniec, który bogowie nam wiją, ach! i ciernistе i strome są też udeptane ścieżki żywota! — Lecz cyt! Już idą — wzywają mnie... Bądź zdrowa!

(Scena napełnia się ludem, który wznosząc radosne okrzyki, otacza hrabiego Rudolfa v. Sternberga. Hrabia wyrywa się z objęć hrabiny, która pada zemdlona, i śpiesznie odchodzi).

Lud: Niech żyje! Hrabia von Sternberg niech żyje! Wiwat! Niech żyje!

(Wszyscy tłoczą się za nim. Muzyka. Tusz. — Zgiełk za sceną).

IBSEN

(Pokój. Przed wieczorem. *Mjörgental i Stjörman* siedzą przy stole).

Mjörgental: Mój Boże, oto i dwadzieścia lat już mija, jak wyjechał do stolicy ojciec.

Strjörman: Znaliście go?

Mjörgental: Budowano wówczas nową tamę na rzece...

Stjörman: Jakżeby mogła udać się budowa bez niego.

Mjörgental: Miał wszystkich obywateli przeciw sobie!

Stjörman: Toć w tym samym czasie bawiła również trupa aktorska w naszem mieście...

Mjörgental: Łączono nawet z tym faktem jego nagłe zniknięcie!

Stjörman: I że właśnie dziś, dokładnie po dwudziestu latach syn rusza w jego ślady!

Mjörgental: Wiele się zmieniło od tego czasu.

Stjörman (wzdychając): Tak, któżby wtedy pomyślał, że...

Mjörgental: Słyszycie — statek? (słychać sygnał statku). Już odjechał.

(Podbiegają do okna i wymachują energicznie rękami).

SHAW

(Pokój na Wilhelm-Square. Z ulicy dobiegają klaksony samochodów, dzwonki tramwajów, nawoływania, gwizdki i t. p. W pokoju rozstawione są rozmaitej wielkości kufry i walizy, rozrzucone są w nieładzie koszule i kołnierze, tak że nawet z galerji można dostrzec, ich chodzi o wyjazd. Jeśli przytem ktoś ma bystre oko i sąsiadka nie absorbuje zbytnio jego uwagi, dostrzeże, że koszule są z prawdziwego jedwabiu a książek jest niewiele, z czego wysnuje najprostszy wniosek, iż chodzi tu o wyjazd gentlemana. Gentleman ten nazwiskiem Sterny — wchodzi po chwili, pogwizdując i manikurując sobie paznokcie. Sposób, w jaki czyni zarówno jedno jak i drugie, upoważnia znowuż do wniosku, że aczkolwiek może nie jest, to jednak uważa się niechybnie za bon-viveura i przynajmniej trzy razy w tygodniu je obiad w klubie leniuchów. Kto wie, jak długo trwałaby jego czynność, gdyby nie otworzyły się nagle drzwi, a do pokoju nie weszła służąca).

Sterny (rzucając uprzednio spojrzenie w lustro): Ewelino, ileż razy ci mówiłem, że powinnaś zapukać, nim wchodzisz do pokoju gentlemana.

Służąca (ze spokojem, pełnym godności): Auto czeka!

Sterny (wkłada palto): Bądź zdrowa Ewelino! Nie częstuj swego przyjaciela mojemi najlepszemi cygarami. A gdyby zadzwoniła moja ciotka, lady Anastas Bumby Huxley, powiedz jej, że w pilnej, niecierpiącej zwłoki sprawie wyjechałem na trzy lata do Mandżurji.

(Wychodzi, pogwizdując, z miną człowieka, który uważa, iż pokazał się z najlepszej strony i zamknął jeszcze jeden rozdział w swem życiu).

Przełożył *M. Gł.*

SŁUCHAMY PŁYT



Chór Juranda, cieszący się wielką sympatją Warszawy. Kierownik Chóru, dbając o poziom wykonania, zmienił ostatnio swój zespół, angażując doskonałych śpiewaków lwowskich.

Z przyjemnością zaczynam dzisiejszą recenzję. Dotychczas przykro mi było pisać o chórze Juranda, gdyż przeważnie były to same niepochlebne słowa. Tymczasem dziś jakaś nagła metamorfoza: ani cienia fałszu, czyste i pełne brzmienie akordów, solowe głosy tenora i barytona miękkie, ciepłe i fonogeniczne. Tylko jakoś dziwnie znajome; kojarzą się wspomnienia „Ten drogi Lwów“, „Jeśli kochać to tylko we Lwowie“. — No, naturalnie, przecież to członkowie chóru Erjano ze Lwowa. Brawo Lwowiacy! Chór Juranda stomilowemi krokami skoczył naprzód.

Bardzo oryginalna jest Zubika „Piosenka Tyrolska“, w której autor jest również głównym wykonawcą. Jego jodlowanie mogłoby śmiało rywalizować z rodowitymi „Tyrolczykami“.

Doskonale sharmonizowaną i dobrze dobraną muzykę do treści mają „Wieczorny Dzwon“ i „Chcę przy tobie żyć“. Ciepła barwa chóru (sztukę tę dawniej posiadał wyłącznie chór Eryano)

zwiększa jeszcze tęsknotę i smutek melodji. Zupełnie w odrębnym stylu utrzymane są 2 foxtroty „Panna Andzia ma wychodne" i „Ja wciąż mam pecha". Wyrazista dykcja, lekkość, odpowiednie akcenty tworzą barwną i żywą całość, świetną do tańca.

Znana dobrze Warszawie argentyńska orkiestra Eduardo Bianco zawiodła trochę nasze oczekiwania. Być może, że jest to winą nagrania. Początek każdej płyty jest jasny i czysty, w środku natomiast szum i zgrzyty zagłuszają nieomal melodję. Pominąwszy te niedociągnięcia, trzeba przyznać tej orkiestrze swoisty urok, barwę i zacięcie. Urywane nagle motywy melodji, ostre kontrasty forte i piano, djalog solowych instrumentów z orkiestrą, połączone z inną zupełnie harmonizacją — zaciekawiają i pociągają „europejczyka". Najoryginalniejsze jest tango „Cancion de Cuna" z refrenem włoskim Carlosa Moreno. Tango „Corason" przypomina trochę piosenkę „Santa Madonna", śpiewaną ongiś przez Modzelewską.

Obok melancholijnych tang Eduardo Bianco nagrał narodowy taniec „Rauchere" (przypomina dawny taniec sztajerek) i ogniste passo-doble „Flores de Espana", o błyskotliwych przejściach i urozmaiceniach melodyjnych.

Mieczysław Fogg wita wiosnę repertuarem kwiatowym. Pomysł ładny, szkoda tylko, że utwory tak bardzo banalne. I „Fiołki" i „Tulipany" to zlepki kilku, lub kilkunastu utworów dawno ogranych i ośpiewanych. Trochę lepsze jest „Najsłodsze tango". Bardzo natomiast dobre i stosunkowo mało ściągane jest tango „Kto zrozumie cię tak".

Miłą niespodzianką i odpoczynkiem po całej powodzi sentymentu i ckliwości, po wszystkich „ty najlepiej to wiesz, bo kochałaś mnie też" i tym podobnych kwiatkach — są dwa doskonałe slow-foxy Kennedy'ego „Mój mały medaljon" i „Czy ty wiesz mój kochany" (świetne słowa Schlechtera). Cechą oryginalną utworów Kennedy'ego jest stosowany bez przerwy akompanjament akordowy fortepianu i jazzu; na tem tle przewijają się urozmaicone motywy melodyjne. Fogg bardzo dobrze dostraja się do ich lekkiego, gawędziarskiego stylu.

Z serji płyt przeznaczonych do świetlic żołnierskich mamy bardzo miłe piosenki K.O.P. „Żołnierz i panna" oraz „Szumi las" w wykonaniu Szczepańskiej i chóru Juranda. Również Szczepańska ślicznie naśpiewała „Prząśniczkę" i „Pieśń wieczorną" Moniuszki przy akompanjamencie orkiestry pod dyr. Straszyńskiego.

H.

Zielone Święta na Łotwie

Urlopy świąteczne wykorzystać można na parodniową wizytę u północnych sąsiadów. Wycieczka Orbisu wyruszy z Wilna do Rygi w dniu 29 maja a powróci w dniu 2-im czerwca.

Cena udziału w wycieczce (paszport, wizy, przejazdy z Wilna do Rygi i z powrotem, utrzymanie w Hotelu Excelsior, zwiedzanie miasta, wynosi przy przejazdach w kl. III Zł. 90.—, a przy przejazdach w klasie II. Zł. 98.—.

Wycieczka odbędzie się w ramach zarządzeń dewizowych.



Pobyty ryczałtowe w Zaleszczykach

Polskie Biuro Podróży „ORBIS" organizuje przez cały sezon pobyty ryczałtowe w Zaleszczykach.

W okresie od 15 maja do 30 czerwca i od 1 września do 31 października pobyt 14-dniowy kosztuje 68.— zł., a pobyt 30-dniowy 141.— zł.

W okresie od 1 lipca do 31 sierpnia pobyt 14-dniowy kosztuje 75.— zł. a pobyt 30-dniowy 156.— zł.

Powyższe ceny obejmują całkowity koszt pobytu w dobrym pensjonacie i taksę klimatyczną.





REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

ŚWIAT FILMU

„Generał Sutler" Pan

Pod niewiele mówiącym tytułem ukrywa się przedziwne bogactwo. Tak bezsensownego zlepku idjotyzmów nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć. Można znieść „Białe trucizny", ale po takim filmie nie sposób milczeć.

Są przecież ludzie, którzy oceniają wartość filmów. Są cenzorzy. Czyż nie można zabronić wyświetlania podobnych szmir?

Inaczej tego zdefinjować nie można. Piekielnie nudna i bezsensownie zmontowana historja całego życia Jana Suttera.

Życie to było nawet urozmaicone, bogate w przygody i przeżycia, karjera kaprala szwajcarskiego za oceanem — zawrotna. Ze zlepków, które oglądaliśmy w Panie, możnaby z łatwością wykroić dobry tuzin ciekawych filmów. No ale do tego trzeba mieć trochę dobrego smaku, odrobinę zdrowego sensu, pewnej znajomości techniki filmowej... i jeszcze bardzo wiele.

Wszystkiego tego w „Generale Sutterze" niema. To, co widzimy i słyszymy, stanowi zupełną rewelację — oczywiście in minus.

Trzeciorzędni aktorzy z patosem recytatorów jarmarcznych ryczą w mikrofon, jakby w ten sposób chcieli pokryć wszystkie wady i usterki gry. Gardłowy dźwięk amerykańskiego djalektu, bulgocący fortissimo może obrzydzić nawet najlepszy film. Tutaj stanowi jedynie drobny szczegół niebywałego skandalu.

Po takim wyczynie wytwórnia „Universal Picture" nie może liczyć na powodzenie swych dalszych filmów.

Idjotyczny scenarjusz jest naszpikowany tak horendalnemi pomysłami, że... trudno nie podziwiać ludzi, którzy mogli tak rewelacyjne odkrycia wyczynić.

Rzecz dzieje się w Szwajcarji, New Yorku, na morzu, na wyspach Sandwich, w Meksyku, Kalifornji, Washingtonie... Czy Państwu wystarczy? Są oczywiście ogniste Meksykanki, dumni caballeros, niewolnicy kanacy, tahitanki w nieodłącznych wieńcach i girlandach, Rosjanie — tak Rosjanie! — w galowych mundurach, z epoletami, kapiącemi od złota, wytworni i wielkoduszni, namiętni i ogniści; są Rosjanki o tęsknych oczach; są rosyjskie romanse — a jakże, jak w recepcie — do znudzenia, do mdłości.

Do szczęścia brakuje jedynie wielkiego księcia. Wśród licznie reprezentowanych zwierząt domowych, mających za zadanie ożywić film i dać podkład sielski i wiejski, nie zauważyliśmy jedynie świni.

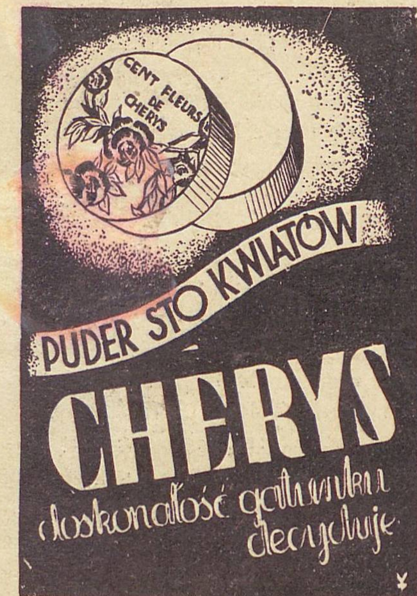
Czort wie co prawda, dlaczego dzielny oficer rosyjski ma na jakiemś dziwnem czaku ausgerechnet POLSKIEGO ORŁA. No ale trudno — widocznie orłów dwugłowych w rekwizytorni Universal Picture zabrakło. I to się zdarza.

Podobnych przykładów przy troszce dobrej woli możnaby wybrać znacznie więcej.

Cierpliwy Czytelnik może się zdziwić, że tak wiele miejsca poświęcamy jednej recenzji, ale chcielibyśmy, żeby jaskrawe oświetlenie błędów wpłynęło na niewyświetlanie filmów tego rodzaju i takiej wartości.

Nie wolno paczyć gustu polskiej publiczności, dając jej filmy takie, że aż obrzydzenie bierze patrzeć na tak partacką robotę.

J.





ŚWIAT FILMU

„W cieniu samotnej sosny"

Rialto

(The trail of the lonesome pine)

Idąc na film, wyświetlany w barwach naturalnych, przeżywałem pewne emocje. A nuż będzie to coś, przypominającego niektóre kolorowe dodatki o dziwnych, trochę nieprawdopodobnych odcieniach, gdzie niektóre kolory były dziwnie uprzywilejowane, a inne wypadały szaro albo zgoła nie wychodziły, gdzie różowe zabarwienie dominowało, niemile odcinając się od czarnej tablicy napisu. Sam początek filmu, wyświetlanie nazwisk aktorów, reżysera i t. p. pogłębiło jeszcze te obawy. Wskutek wadliwej projekcji, kolorowe napisy wychodziły nieostre, zamazane, nieczytelne.

Już pierwsza scena prologu, pierwszy plener rozwiał niepokoje. To, co ujrzeliśmy, było niespodziewanie wierne, nieoczekiwanie naturalne — piękne. Na widowni rozległy się oklaski.

Techniczna strona zdjęć była bez zarzutu. W paru zaledwie fragmentach złośliwe oko mogło dopatrzeć się pewnej nieostrości, niewielkich braków kontrastowości. Całość sprawiała wrażenie niezwykle dodatnie i o dziwo — absolutnie nie męczyła wzroku.

Scenarjusz prosty i konsekwentny, tło zajmujące i mało znane czynią z filmu widowisko ciekawe i niebanalne.

Historja długoletniej walki dwóch rodów, historja dramatyczna i krwawa, przypomina jędrne powieści Curwooda i Londona. Dzikie góry i puszcza, prymitywne warunki bytu czynią z tych surowych i prostych ludzi dziwnych bohaterów. Krwawa nienawiść rodowa, surowe prawo krwi, stwarzają niecodzienną osnowę akcji.

Prymitywizm i prostota poparta naturalną i szczerą interpretacją przybliżają nas do tych ludzi. Nieskomplikowane obyczaje i pewien fatalizm nienawiści wzruszają i porywają. Starannie dobrana obsada z przemiłą i uroczą Silvią Sydney, Fredem Mc Murrayem i Henry Fondą, rycerskimi i męskimi rywalami, na czele swą inteligentną i prostą grą pogłębia treść i nastrój filmu. Niesposób nie wymienić młodocianego aktora, grającego inteligentne i miłe dziecko i świetnego psa, który dziwnie trafnie odgaduje nastrój i sytuacje.

Pewnym brakiem filmu są niektóre dłużyzny, zwłaszcza w części końcowej. Henry Hathaway zasugerowany został — mam wrażenie — efektami kolorystycznemi i kompozycją malarską i przepuścił parę niewytłumaczonych zwolnień.

Zresztą reżyserja na wysokości zadania, pewien nadmiar bójek da się ostatecznie wytłumaczyć charakterem obrazu.

Szereg znakomitych scen — że wymienię wzruszający w prostocie pogrzeb małego Doney'a — wynagradza z naddatkiem pewne niedociągnięcia.

J.



Herbert Marshall i Gertruda Michael w mocnym dramacie szpiegowskim p.t. „Till we mett again". Obraz ten będzie sprowadzony do Polski w przyszłym sezonie.

fot. Paramount

Francis Lederer w Paramount

Francis Lederer, wybitny aktor scen europejskich i amerykańskich, podpisał kontrakt z wytwórnią Paramount. Lederer ukaże się w filmie p. t. „Old timer". Film ten reżyserował Norman Taurog.

Frank Lloyd na wywczasach

Znakomity reżyser, Frank Lloyd, twórca „Kawalkady", podpisał kontrakt paroletni z wytwórnią Paramount, dla której nakręci rocznie szereg obrazów. Lloyd przystąpi do pracy za dwa tygodnie. Krótki ten urlop spędza nad morzem. Jednym z obrazów Franka Loyda będzie film z Marleną Dietrich.

„PRZEZ 7 MÓRZ".

Ogromne zainteresowanie wśród miłośników morskiej podróży wzbudziła wycieczka „Przez 7 Mórz" na s/s „Kościuszko", organizowana w okresie od 12 czerwca do 3 lipca. Długość trasy wyniesie ogółem 4.379 mil morskich. Wycieczka wyruszy z Konstanzy.

Uczestnicy wycieczki będą mieli możność zwiedzenia Stambułu, Pireusu (Aten), Valetty na Malcie, Algieru, Tangeru, Hiszpańskiego portu Santander oraz Antwerpji.

Niska cena uczestnictwa (bilety okrętowe już od zł. 400.—), ciekawa i nowa trasa zapewni wycieczce wielkie powodzenie. Zapisy przyjmują wszystkie placówki ORBISU.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa